

W numerze m. in.: JÓZEF BARECKI — Budapeszt: W poszukiwaniu nowego kształtu jedności, LUCJAN PIĄTEK — Gorzka cena lekkomyślności, TADEUSZ KŁAK — Drapak zamiast róży, MIKOŁAJ SZEWCZUK — Dzisiejsza Powiś, ROMUALD LENECH — Spółka autorska.

Kamera

LUBLIN 31.III.1968 Nr 7 (388) R. XXXV

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Wychodzi od 1933 r.

O NAUCZYCIELACH każdy inaczej

Bohdan Komorowski

WIELE się pisalo, pisze i pisac będzie, jakim nauczyciel (czy raczej nauczycielka — ich bowiem jest znacznie więcej) jest i jakim powinien być — jak go trzeba kształcić, by właśnie był takim, a nie innym. Zrodziła się nawet odrębna dyscyplina, zwana z grecka pedeutologią, czyli nauką o nauczycielu. W jej zakres wchodzi zagadnienia osobowości pedagoga, jego stosunek do zawodu, wychowanków i środowiska, a także problematyka kształcenia, dokształcania i samokształcenia nauczycielstwa.

Niektórzy dopatrują się w etymologii słowa „nauczyciel” aluzji do szczytnej misji nauczania jako procesu scalającego uczenie z kształceniem. Oto bowiem nauczyciel nie tylko uczy, czyli wyosusza w wiadomości, umiejętności i nawyki, nie tylko kształci, czyli kieruje procesem uczenia, wyrabiając właściwą postawę wychowanka poznającego i działającego. On naucza, jednocześnie ucząc i kształcąc, stąd ponoć polski termin „nauczyciel” jest szczęśliwszy niż rosyjski „uczitelj”, niemiecki „Lehrer”, angielski „teacher”, które to nazwy kojarzą się wyłącznie z „uczeniem” jako tradycyjnym przekazem i przyswajaniem. A przecież należałoby jeszcze uwzględnić nowoczesne postulaty aktywnego dociekania wspólnie z uczniem, wyuczania problemów, stosowania nabytej wiedzy w nowych sytuacjach, budzenia zainteresowań i zamiłowań, wiązania poznania z działaniem i rozwojem osobowości, stanowiącej system wewnętrznej organizacji człowieka.

Liczni badacze i myśliciele, którym leżała na sercu troska o dobrą robotę nauczycielską, starają się od wieków skonstruować idealny model nauczyciela wzorowego. Ci badacze i myśliciele — nazwijmy ich pedeutologami — opierają swe dociekania na jednej z dwóch koncepcji: normatywnej lub empirycznej. U podłoża koncepcji normatywnej leży dedukcyjny tok rozumowania: w odpowiedzi na pytanie, jakim powinien być idealny nauczyciel, rodzi się w umyśle pewien wyabstrahowany model, stający się normą postępowania dla pedagogów nauczających i wychowujących w określonej rzeczywistości. Natomiast koncepcja empiryczna posługuje się indukcyjnym tokiem rozumowania: odpowiadając na pytanie, jakim naprawdę jest nauczyciel z krwi i kości, pedeutolog na podstawie licznych obserwacji i doświadczeń ustala cechy pozytywne i scala je w uogólniony model.

W oczach pedeutologów

Dokonyjmy przeglądu zapatrywań co znamienitszych rzeczników nauczycielskiego ideału. Andrzej Frycz Modrzewski, acz nie pedeutolog w ścisłym tego słowa znaczeniu, zarysowuje w swym dziele „O naprawie Rzeczypospolitej” (księga V; „O szkole”) sylwetkę doskonałego nauczyciela, wyposażającego uczniów w cnoty obywatelskie. Twórczą kontynuacją jego refleksji są ustawy Komisji Edukacji Narodowej, które eksponują powinności wobec społeczeństwa, znajomość człowieka, czułość, sprawiedliwość i miłość ojcowską, podnoszenie swego poziomu umy-

slowego i kwalifikacji metodycznych, nieprzeciążanie uczniów, uczenie ich poprawnego myślenia, unikanie grubiaństwa. Sekretarz teje Komisji, ksiądz Grzegorz Piramiec, w książeczce „O powinnościach nauczyciela” domaga się od pedagogów samokrytycyzmu i autoanalizy, uczciwości wobec dzieci, łagodności, kontaktów z rodzicami wychowanków, społecznictwa.

Sięgnijmy w czasy nowsze. Jan Władysław Dawid w publikacji „O duszy nauczycielskiej” za najważniejszą cechę poczytuje „miłość dusz ludzkich” jako źródło entuzjazmu i wiary w powołanie pedagogiczne. W innych zawodach — powiada — nawet lekarskim, można ostatecznie być złym człowiekiem, ale nauczyciel jako zły człowiek — to sprzeczność logiczna. Dawid przekłada nawet wartości moralno-społeczne ponad intelektualne, głosząc, że woli nauczyciela o mniejszej wiedzy a większej miłości dusz niż na odwrót.

Zygmunt Mysłakowski i Stefan Szuman, zastanawiając się nad talentem pedagogicznym jako zasadniczym atrybutem wzorowego nauczyciela, zgodnie doszli do wniosku, że ów talent — to połączenie wrodzonych cech psychofizycznych ze stylem pracy, wytworzonym przez odpowiednie wykształcenie ogólne i zawodowe, które stawia na tzw. ekstrawertyzm, czyli zdolność skupiania się na świecie nie własnym, wewnętrznym, ale zewnętrznym, a więc na środowisku, otoczeniu, wychowankach.

Stefan Bałey wśród postulowanych cech talentu nauczycielskiego wysuwa na czoło wybitność, przy-

(Ciąg dalszy na str. 4)

W 100-lecie urodzin Maksyma Gorkiego

Przyjaciel polskiej kultury

Iwan Wiszniewski



T RUDNO sobie dzisiaj wyobrazić naukowe poznanie specyfiki współczesnego procesu literackiego bez uwzględnienia wpływu wielkiego talentu i dorobku jednego z najwybitniejszych pisarzy proletariackich, twórcy literatury nowego typu — Maksyma Gorkiego. Dla współczesnego badacza twórczości Gorkiego jednym z najciekawszych i wciąż aktualnych problemów pozostaje sprawa różnorodnych związków z kulturą i literaturą narodów całego świata. Zainteresowanie pisarza historią i kulturą Polski wpływało z jego internacjonalizmu, szacunku i sympatii do narodu polskiego, którego nie zmioły niepomysłne wiatry historii i który zdobył sobie opinię narodu utalentowanego i miłującego wolność.

Jako przyjaciel i obrońca wszystkich uciskanych w artykule „O wypadkach kaukaskich” w 1905 r. Gorki mówi z pogardą i gniewem o samowoli carskich despotów, o szczytach jednych narodów przeciwko drugim, co było jawną zasadą polityki Romanowów: Wydaje mi się, że jednakowo haniebne dla całego kraju krowie tragedie w Baku i Erywaniu nie różniły się, jeśli idzie o motywy, od takich samych tragicznych wypadków w Kiszyniowie i Warszawie, w Zytomierzu i Łodzi.

Pisarz widział i rozumiał, że siła narodów jest ich jedność: Trzeba tylko, żeby wszyscy najlepsi, wszyscy uczciwi ludzie Kaukazu i Finlandii, Polski i Rosji połączyli się w jedną rodzinną przyjaciół — bojowników, w drużynę prawych i nieulekłych i zadali sobie pytanie: — kto jest naszym wrogiem? — Od-

powiedź jest latwa: wszyscy ludzie — Tatarzy, Rosjanie, Ormianie i Żydzi, Polacy, Finowie — wszyscy chcą jednego: żyć lepiej niż dotychczas.

Te myśli i uczucia — to klucz do zrozumienia poruszonego problemu. Tu kryje się źródło uznania jakie żywił Gorki dla narodu polskiego i jego kultury. Chyć czoło przed narodem polskim — czytamy w jednym z jego listów — nie ustaję w swej wielkiej walce o wolność, Kocham gorąco literaturę polską i byłbym rad, gdybym mógł zapoznać naród polski z kulturą jego pobratymców.

Zbliżenie pisarza rosyjskiego z kulturą Polski szło głównie dwiema drogami: żywym kontaktów z najwybitniejszymi przedstawicielami narodu polskiego i przez stałe obcowanie z literaturą polską. Z kolei najlepszą część społeczeństwa polskiego przyswajała sobie idee i piękno utworów Gorkiego przez przekłady jego książek i drogą kontaktowania się publiczności z bohaterami jego dramatów w inscenizacji polskich teatrów. Obustronny proces integracji kultur obydwu bratnich narodów dał duże efekty i stał się dodatkowym przejawem ich pokrewieństwa narodowego.

„Zwiastun burzy” — rewolucji, jak nazywano Gorkiego, przyciągał magnesem swego wielkiego serca i umysłu najbardziej wyczulonych na to co nowe, najwybitniejszych działaczy społeczno-politycznych i kulturalnych Polski. Znal osobicie Feliksa Dzierżyńskiego, Juliana Marchlewskiego, takich pisarzy jak Stefan Zeromski, Gustaw Daniłowski, Stanisław Brzozowski, Wacław Sierozewski i in.

(Dokończenie na str. 3)

Młoda lala w polskim filmie

„Pożar, pożar, coś nareszcie dzieje się...”

Grzegorz Nowiński

J EDYNYM oficjalnym źródłem, dostarczającym w Polsce kadry zawodowe dla kinematografii, jest Państwowa Wyższa Szkoła Filmowa im. Leona Schillera w Łodzi. „Kibice” polskiej twórczości filmowej mogą zapytać — zaniepokojeni widoczną depresją tej twórczości — czy istnieją w działalności i osiągnięciach Szkoły Filmowej objawy oczekiwanej przecież odnowy i społecznej rehabilitacji filmu polskiego, czy pojawiły się osobowości twórcze — mam na myśli reżyserów — mogące podjąć się tak trudnej roli? — Mniem twierdzić, że nawet jeżeli nie stanowią one jednolitego bojowego frontu, to istnieją rzeczywistości — pojawiło się parę filmów młodych twórców, stanowiących na tle szarzyń i jałowości „dorosłej” kinematografii sygnały czegoś nowego i świeżego...

Uczelnia łódzka ma się czym pochwalić. To przedcz tuż przed laty zdobywali ostrogę reżyserską Wajda, Munk, Kluba, Skolimowski, Has, Polański — żeby wspomnieć tych najbardziej znanych. Wykładowcami są wybitni reżyserzy i teoretycy filmu: prof. prof. J. Toepflich, J. Bosak, A. Bohdziewicz, St. Wohl, A. Radziwiłowicz, J. Morgenstern. Szkoła jest ceniona w świecie — jej pracownicy naukowcy są często zapraszani na wykłady na uczelniach zagranicznych.

W okresie powstawania tzw. „szkół polskiej” uczelnia w Łodzi stanowiła centrum umysłowej aktywności środowiska, prężny ośrodek wszelkiej dyskusji i artystycznej rywalizacji. Tutaj powstały takie filmy jak: „Dwa ludzie z szafą” R. Polańskiego, „Zabawa” i „Portret mężczyzny z medallionem”

W. Leszczyńskiego, „Rondo” J. Majewskiego (w którym, co jest już ciekawostką, główną rolę grał S. Mrozek)... Potem, w latach 60-tych, kiedy wyraźnie osłabł impet rozwojowy filmu polskiego, o Szkole mówiono coraz mniej i ciszej, aż w końcu stała się własnym cieniem, czerpiącym całą chwałę z przeszłości. W tym czasie orientacja artystyczna przesunęła się wyraźnie z filmu kreatywnego na film dokumentalny, w której to dziedzinie jednak powstało kilka wartościowych prac, takich jak: „Szkoła uczyć” E. Bernsteina i „Getto ciszy” J. Afanasiewa. W tej atmosferze coraz bardziej oczywista stawała się konieczność zrewidowania tradycyjnych form wypowiedzi i podjęcia nowej tematyki w trosce o nadążenie za zmianami, jakie zaszły w filmie artystycznym na świecie. „Nowa fala” we Francji, nowe kino czeskie czy „zbuntowany film angielski”, niezależnie od wad typowych dla każdego nurtu wnoszące nowe wartości, wykształciły nowe sposoby filmowego obrazowania, które stały się elementarnym nowoczesnego twórcy filmowego. Kamera filmowa stała się bardziej subtelny i poręcznym narzędziem obserwacji i rejestrowania rzeczywistości. Rozwój techniki filmowej spowodował, że uległy znacznemu rozsunieniu sztywne granice penetracji autora filmu. Obecnie produkowane kamery dźwiękowe są lżejsze, bardziej operatywne i pozwalają na zachowanie „incognito” w sytuacjach, kiedy jest to konieczne dla osiągnięcia pełnej autentyczności wydarzeń.

Z tych przeświadczeń, z założeniem a priori kompromisu między

(Dokończenie na str. 6)

WŁADYSLAW GOMULKA:

o tle ostatnich wydarzeń

[...] W wydarzeniach, jakie miały miejsce w kraju, linia podziału przebiega między socjalizmem, a reakcją wszelkiej maści, między polityką przyjaźni i sojuszu polsko-radzieckiego, a antyradziecką polityką bankrutów i niedobitków reakcyjnych, między polityką zapewniającą Polsce bezpieczeństwo jej granic i jej wszechstronny rozwój, a usiłowaniami zepchnięcia Polski na drogę zguby. Zasadnicza różnica między rezolucjami robotników, a rezolucjami studentów polega na tym, że robotnicy od razu dostrzegli tę rzeczywistą linię podziału, podczas gdy część studentów dała się wprowadzić w błąd garstce reakcyjnych, antyradzieckich indywiduów.

Sprawy zaszyły tak daleko, że muszą się znaleźć w całej rozciągłości na widowni publicznej. Przemilczanie nie wolno już niczego. Nie mamy zresztą powodu do uchyłania się od publicznego rozstrzygnięcia zamiatanych gwałtów politycznych. Wprost przeciwnie, jest naszym obowiązkiem i jest rzeczą konieczną, aby gwałty te wprowadzić na forum publiczne, poddać je szerokiej analizie, dyskusji i krytyce. Tylko na drodze takiej operacji może być przełamywany ten stan reakcyjny.

o sprawie „Dziadów“

[...] Nie będziemy tu mówić o epoce, w której Mickiewicz tworzył swe dzieła. Aby dobrze odebrać teatralny spektakl Mickiewiczowski „Dziadów“, zwłaszcza w inscenizacji Dejmkę, trzeba się wczuć w tę epokę, trzeba nie tylko umieć, ale przede wszystkim chcieć oddzielić przeszłość od teraźniejszości. Odmowa rolę odgrywa tu reżyser, inscenizacja, duża siła sugestywna jest rzą aktorów. W zależności od tego odbieramy to jako wielką sztukę, lub niewłaściwie takie np. strofy „Dziadów“ — tak jak były wypowiedziane ze sceny Teatru Narodowego:

Mam być wolny — tak, nie wiem
skąd przyszła nowina,
Lecz ja znam, co być wolnym z ręki
Moskucina.
Loty, dziejmy mi tylko z rąk i nóg
każdy.
Ala utraczę na duszę.

Albo słowa wypowiedziane przez rosyjskiego oficera do dekabrysty Bestuzewa:

„nie dzie, że nas tu przeklinają,
Wszak to już miła wieść,
Jak z Moskwy do Polski nasylają
samych lajdaków stek.

Te zwłaszcza strofy odpowiednio wyreżyserowane były przyjmowane przez część widowni demonstracyjnymi okrzykami. Ciągłe powtarzanie się tych de-

monstracji politycznych musiało się zakończyć odjęciem ze sceny „Dziadów“. Nie można bowiem pozwolić na to, aby w imię jakiejś abstrakcyjnej wolności i inscenizacyjnej dowolności przekształcać antycarskie ostrze „Dziadów“ w oręż antyradziecki.

Próba wykorzystania poezji Mickiewicza, zrodzonej z walki patriotycznej młodzieży przeciw carskiemu uciskowi, dla szkolenia Polski Ludowej, jest politycznym szalbierstwem, wypacza bowiem najgłębszy, demokratyczny i postępowy sens twórczości Mickiewicza. Mickiewicz nie był i nie będzie stworzył, dzieł nas nie tylko okres blisko półtorawieczny. Dzieł nas Wielka Rewolucja Październikowa, która obalila carski ucisk i przywróciła Polsce niepodległość. Dzieł nas wielka wojna wywołana przeciw niemieckiemu fałszywemu, w której tylko na naszej ziemi i za naszą wolność i niepodległość oddało życie blisko 600 tysięcy radzieckich żołnierzy. I gdyby w naszych czasach duch Mickiewiczowski znalazł również wielkiego wyraziiciela — natchnąłby go z pewnością do nieśmiertelnej epopei poświęconej tym, którzy ofiarą swego życia i krwi przelałej na ziemi polskiej ocalili naród od hitlerowskiej zagłady.

[...] Dla każdego, kto rozumie prawa walki politycznej, jest już oczywiste, że problemem ostatniej inscenizacji „Dziadów“ domaganie się tzw. rozszerzenia wolności kultury i nauki, a nawet protesty przeciw akcji milicyjnej stanowią jedynie dymną zasłonę, za którą inspirowany ostatnimi zjawiskami w wyższych uczelniach usiłują ukryć swoje rzeczywiste cele. Liczą oni na to, że czad tymi pozornie niewinnych hasłami oszołomi młodzież, zdezeriują kadry naukowe i wprowadzą zamęt do świadomości części społeczeństwa.

o zebraniu warszawskich pisarzy

[...] można by sądzić, że u podłoża zwołania nadzwyczajnego walnego zebrania warszawskiego oddziału Związku Literatów Polskich, na którym otwarto cykl późniejszych wydarzeń, znalazło się zdjecie ze sceny „Dziadów“ dejmkowskich. W rzeczywistości sprawy przedstawiają się zgoła inaczej. Zdjecie „Dziadów“ postużyło tylko różnym wstecznym i wrogim Polsce siłom za pretekst do ich brudnych poczyną.

O intencjach organizatorów zebrania warszawskiego oddziału Związku Literatów Polskich świadczy nie tyle i nie tylko podjęta tam rezolucja, lecz przede wszystkim przebieg tego zebrania, treść szeregu przemówień, jakie tam wygłoszono. Inspiratorem zwołania nadzwyczajnego zebrania pisarzy stolicy nie chodziło bynajmniej o uzyskanie wyjaśnień w sprawie zdjecia „Dziadów“, Chodziło im o zorganizowanie demonstracji pisarzy, o rozpalenie atmosfery podniecenia i niepokoju i przeniesienie jej poza środowisko pisarzy. Chodziło im o rozpalenie walki skierowanej przeciw kierownictwu naszej partii, przeciw rządowi, przeciw władzy ludowej. Te swoje reakcyjne cele zastosili oszukańczo hasłem obrony kultury narodowej.

Przebieg zebrania warszawskich pisarzy trzeba będzie podać do wiadomości publicznej.

o pracy ideowo-politycznej na wyższych uczelniach

[...] Aby wnikać dogłębnie w obecną sytuację polityczną w naszym kraju nie wystarczy wyciągnąć na światło dzienne inspiratorów i organizatorów wystąpień w środowisku literackim i studentckim. Nie wystarczy też zdemaskować oszukańczy charakter hasł, z którymi szli oni do młodzieży studenckiej oraz ujawnić rzeczywiste cele polityczne im przyświecające. Musimy odpowiedzieć również na pytanie: Dlaczego ziarne demagogii padło na podatny grunt i wydało plon? Dlaczego argumenty i hasła siewców zametu trafiły do umysłów części młodzieży i skłoniły ją do nieodpowiedzialnych wystąpień i nieposłuszeństwa wobec władz akademickich?

Byłoby oczywiście błędem, gdybyśmy przeoczyli, że tylko część młodzieży studenckiej poszła na lep demagogicznej agitacji dała się namówić do udziału w wystąpieniach zbiorowych zakazanych przez władze uczelniane. Wystarczyło to jednak dla dezorganizowania normalnej pracy uczelni.

Uważamy, iż obowiązkiem Komitetu Centralnego jest dokonanie w najbliższym czasie szczegółowej analizy zaniedbań w naszej pracy politycznej i wychowawczej wśród młodzieży w ogóle, a wśród młodzieży szkolnej i studenckiej w szczególności, i wyjaśnienie przyczyn, dla których znaczna część młodzieży cechuje skłonność do anarchizujących reakcji i podatność na każdą, najbardziej niewiarygodną plotkę polityczną.

Szczególną uwagę zwrócić musimy przede wszystkim na postawę i działalność kadry naukowo-dydaktycznej w szkołach wyższych. Na barkach nauczycieli akademickich spoczywa bowiem główna odpowiedzialność nie tylko za kształcenie, lecz również za wychowanie młodzieży, za kształtowanie jej obywatelskiej postawy i wdrażanie do dyscypliny społecznej.

Partia nasza i najwyższe władze państwowe w ciągu ostatnich lat niejednokrotnie zwracały pracownikom nauki uwagę na poważne zaniedbania w pracy wychowawczej w szkołach wyższych i niedostateczne zaangażowanie kadry naukowo-dydaktycznej w tę pracę.

Ostatnie wydarzenia w uczelniach ujawniły niepokojące objawy niedyscyplinowania młodzieży wobec zarządzeń władz akademickich. Te wydarzenia postawiły władze uczelniane oraz ogół pracowników naukowo-dydaktycznych jako organizatorów życia i pracy uczelni i wychowawców młodzieży w obliczu wielkiej próby. Przed niespełna 10 laty przy aktywnym poparciu klubu poselskiego naszej partii Sejm obdarzył szkoły wyższe szerokim samorządem, powierzając profesorom i docentom wybór władz uczelni, uzależniając od ich opinii politykę miarową i awansów, przywrócić kadry naukowe do szerokiego uprawiania w zakresie kształtowania programu i metod pracy uczelni. Lecz koniu wiele dano, od tego i wiele trzeba wymagać. Szeroki zakres praw oznacza również wielki ciężar odpowiedzialności za porządek na uczelniach. Za niezakończony rytm pracy dydaktycznej, za los młodzieży, władze państwowe, klasa robotnicza,

całe społeczeństwo mają prawo zapytać dziś kadry naukowe szkół wyższych, jak z tej odpowiedzialności się wywiązała?

o syjonizmie i antysemityzmie

[...] Niezależnie [...] od tego, jakie uczucia nurtują obywateli naszego kraju pochodzenia żydowskiego, partia nasza przeciwstawia się z całą stanowczością wszelkim zjawiskom, które noszą cechy antysemityzmu. Syjonizm zwalczamy, jako program polityczny. Jako nacjonalizm żydowski i to jest słuszne. Nie ma to nic wspólnego z antysemityzmem. Antysemityzm ma miejsce wówczas, jeśli ktoś występuje przeciwko Żydom dlatego, że są Żydami. Syjonizm i antysemityzm — to dwie strony tego samego nacjonalistycznego medalu.

Jedynym miernikiem oceny obywatela naszego państwa jest jego postawa wobec socjalizmu i wobec żyjących interesów naszego państwa i narodu. Każdy obywatel określa swoją narodowość wedle własnej świadomości. Korzysta przy tym z równych praw niezależnie od tego, czy się uważa za Polaka, Białorusina, czy Żyda. Ale też jednako obywateli go zasada lojalności wobec kraju, wobec swojej ojczyzny Polski Ludowej.

o stosunku do rezolucji

[...] Nie jest rzeczą możliwą, abym z tej trybuny ustosunkowywał się w imieniu kierownictwa partii do poszczególnych postulatów zawartych w różnych rezolucjach podejmowanych na wiecach i zgromadzeniach w całym kraju. Jednak nad rezolucjami tymi nie możemy przejść i nie przejdziemy do porządku dziennego. W odpowiedniej formie, w odpowiedni sposób i w warunkach pełnego spokoju ustosunkujemy się przede wszystkim do rezolucji studentów podjętych na wiecach legalnych, tj. odbytych z zgodą rektorów. Omówimy bądź z przedstawicielami studentów, bądź z wszystkimi studentami danej uczelni, lub jej wydziałów, bądź na łamach prasy poszczególnie postulatory zawarte w tych rezolucjach. Są tam bowiem rzeczy słuszne i niesłuszne.

Nie mamy wątpliwości co do tego, że przytaczająca większość studentów stoi na gruncie socjalizmu, popiera naszą politykę sojuszu, przyjaźni i braterstwa między narodem polskim a narodami Związku Radzieckiego. Nie przeciw studentom, a przeciw reakcyjnym wiechom i kierownikom, którzy w imieniu partii i pracowników różnych zakładów pracy. Byłoby bzdurnym nonsensem, gdyby ktoś utrzymywał, że partia nasza usiłuje, lub żywi zamiary przeciwstawiania robotników studentom, lub studentów robotnikom. Dzisiejsi studenci stają się jutro pracownikami, którzy ramie w ramie z robotnikami i chłopami będą kontynuować dzieło ich ojców — budowę Polski Ludowej, umacnianie sił i bezpieczeństwa naszego państwa socjalistycznego.

Wierzymy, że idące po tej linii zapewnienia zawarte w rezolucjach studentów wypływają z ich głębokiego przekonania i odzwierciedlają ich postawę polityczną.

Wyjaśnienie i dyskusji wymagałoby jednak takie sprawy ujęte w rezolucjach studentów, jak demokracja, wolność słowa, zgromadzeń i manifestacji, znieszenie Konstytucji i temu podobne. Pójście demokracji i wolności nie jest i być nie może pojęciem abstrakcyjnym. Wolność i demokracja były zawsze, są i będą pojęciami konkretnymi, według swych warunków, według nauki marksizmu-leninizmu według doświadczeń historii i praktyki życia w naszych czasach — pojęciami klasowym. Trzeba będzie wyjaśnić to studentom i nie tylko studentom. Wyjaśnić im też trzeba latwie Konstytucji PRL, jako ustawy zasadniczej, z której się wywodzi całe prawodawstwo. Podkreślenie swych racji z rzeczy z prawem, racjonalnie, które jest poleca na tym, że nikt, kto nie zawiął wobec pragnień prawa, nie może być karany, oraz nikt, kto dopuścił się przestępstwa, nie powinien być zwolniony od odpowiedzialności. Przeciwnieństwem tej tezy jest bezprawie.

o postawie ludzi pracy

[...] Z tego miejsca pragnę przede wszystkim, w imieniu kierownictwa partii i w imieniu własnym, złożyć gorące podziękowanie robotnikom i wszystkim ludziom pracy, którzy w tych rezolucjach wyrazili pełne poparcie dla polityki i stanowiska partii i władzy ludowej.

Wyrażamy nasze najwyższe uznanie dla polskiej klasy robotniczej, dla milionów ludzi pracy w naszych miastach, którzy stanęli u boku naszej partii i na tysiącach wiecach dałi wyraz swemu poparciu dla jej stanowiska. Ta postawa załóg fabrycznych była główną siłą, która zagroziła drodze burżuazyjnemu porządkowi, położyła tamę nieodpowiedzialnym wystąpieniom.

Tam, w fabrykach, wśród mas robotniczych, wśród ludzi pracy partia nasza posiada swoją główną oporę, tam bije życiodajne źródło naszej siły politycznej. Umacnianie i pogłębianie więzi z klasą robotniczą i z ogółem znajdującą się w centrum uwagi i działalności naszych organizacji partyjnych. Postawa w tych dniach marcowych zawała klasa robotnicza i pracująca razem z nią inteligencja, dowodzi, że żadne siły reakcji nie potrafią podważyć fundamentów ustroju naszej socjalistycznej ojczyzny.

Zalogi zakładów pracy, klasa robotnicza, przepelciona słusznym oburzeniem wobec reakcyjnych inicjatorów i organizatorów awantur, powinna jednocześnie odrzucać wszelkie nieuczynne fantazje, których źródłem jest fantazja i plotkarstwo, albo nawet dewersyjna działalność polityczna wroga. Pamiętajmy, że tzw. „opluskwanie“ ludzi niewinnych należy do arsenału środków walki reakcji z naszą partią, z naszym ustrojem. Zanim jakikolwiek zarzut zostanie przeciw komukolwiek podniesiony publicznie, powinien być przedkwestionowany w odpowiednich instancjach partyjnych. Winy nie będziemy szczędzić, niewinnych będziemy bronić.

OD REDAKCJI: Już po oddaniu numeru do druku odbyło się spotkanie Władysława Gomułki z partyjnym aktywem stolicy. W ostatniej chwili drukujemy fragmenty przemówienia i sekretarza KC PZPR dotyczące najbardziej palących kwestii związanych z ostatnimi wydarzeniami w kraju.

Notes „Kamenny“
Józef Borecki
BUDAPEST: W poszukiwaniu nowego kształtu jedności

BYLEM jednym z dziennikarzy polskich, którzy relacjonowali przebieg spotkania budapeszteńskiego w prasie polskiej. Gdyby mnie ktoś zapytał, co było jego najbardziej charakterystyczną cechą: odpowiedziałbym: atmosfera.

Spotkanie partii komunistycznych i robotniczych zwołane zostało do Budapesztu w celu omówienia głównych problemów organizacji nowej światowej narady ruchu komunistycznego. Nikt nie ukrywał sytuacji, w jakiej spotkanie doszło do skutku. Od pewnego czasu rozluźniła się spójność ruchu robotniczego, wystąpiły rysy we froncie wspólnego działania. Nieuniknione w ruchu o tak szerokim zasięgu różnice zdań i poglądów na niektóre sprawy wykrzystane zostały przez Komunistyczną Partię Chin do rozłamowej działalności. Brak jedności w ruchu komunistycznym nie sprzyjał walce przeciw imperializmowi, działaniu w obronie pokoju i zagrożonej wolności narodów. Potrzeba zwołania nowej narady stała się oczywista: ruch komunistyczny, jedyna siła zdolna się przeciwstawić imperializmowi, powinien jak najszybciej zespółić swe szeregi i rozszerzyć swój wpływ na rozwój sytuacji międzynarodowej.

Nikt nie wątpli w potrzebie zwołania nowej narady. Podnosili się jednak głosy wątpiące w to, że ruch robotniczy potrafi w obecnej sytuacji osiągnąć zgodę co do tematyki i warunków odbycia nowej narady. Wielu zachodnich „speców“ od spraw komunistycznych głowę dawało sobie uciąć. Ze spotkanie w Budapeszcie nie zbierze się z dostateczną liczbą partii, a jeśli stanie się, to i na spotkanie przyjdzie trochę partii, to i tak nie dojdzie do nim do porozumienia i Budapeszt zakończy się fiaskiem. Różnice w ruchu komunistycznym są zbyt wielkie — pisano — aby mogło je zniwelować jedno spotkanie.

Na spotkanie przybyło 67 partii. I nie był to żaden cud. Po prostu w ruchu komunistycznym dojrzały warunki do akcji na rzecz zespolenia działalności i pokonywania występujących różnic, ale sama liczba uczestników spotkania nie mówi jeszcze o zasięgu tego przekonania. Na spotkanie nie przybyło kilka partii (m.in. Wietnamu, Korei czy Japonii) nie dlatego, że są przeciwne idei nowej narady i osiągnięciu większej jedności, ale z powodu specyficznych, wytłumaczalnych trudności. Zresztą wiele z tych partii nadeszło do sekretariatu spotkania listy, w których wyraziło swą solidarność z celami spotkania.

Trzeba wziąć pod uwagę również i to, że zaproszenia na spotkanie wysłane zostały tylko tym partiom, które brały udział w naradzie moskiewskiej w 1960 r. Z tego powodu kilka partii, które powstały po naradzie, nie otrzymało zaproszeń i nie można uważać, że ich nieobecność na spotkaniu była wynikiem odmowy lub negatywnego stosunku do spotkania. W gruncie rzeczy kilka tylko, a jeśli dobrze liczyć, to dwie partie, Komunistyczna Partia Chin i Albańska Partia Pracy, odniosły się całkowicie negatywnie do idei zespolenia ruchu i zwołania nowej narady. Można powiedzieć, że tylko te dwie partie były faktycznie nieobecne na spotkaniu.

Nie spełniły się prośbami zachodnich „kremologów“ co do frekwencji na spotkaniu. Nie spełniły się również w odniesieniu do samego przebiegu obrad. Charakteryzowała je ta cecha, o której wspominałem na początku: nowa, konstruktywna, pełna troski

o poszanowanie stanowiska każdego uczestnika atmosfery.

— Byłem już na wielu konferencjach międzynarodowych w różnych krajach świata, organizowanych przez rządy, partie i organizacje — powiedział na konferencji prasowej przewodniczący delegacji Komunistycznej Partii Wielkiej Brytanii, Jack Woddis — ale muszę powiedzieć, że budapeszteńskie spotkanie konsultacyjne jest najbardziej demokratyczną konferencją ze wszystkich, jakie znam...

Poszanowanie i przestrzeganie zasady demokracji charakteryzowało całe obrady zgromadzonych w Budapeszcie partii i wszystkie podjęte przez nie wnioski.

Chodziło przy tym o drobne, zdawałoby się, ale niezwykle istotne dla stosunków między tego typu organizacjami sprawy jak i o zasadnicze, decydujące problemy związane z trybem i treścią pracy spotkania. Każda partia przewodnicząca poszczególnym sesjom według klucza opartego na alfabecie, w dyskusji zaś zabierała głos według kolejności zgłoszenia. Każda partia miała w sekretariacie spotkania swojego przedstawiciela. Żadna z delegacji, niezależnie od tego, jak wielką partię reprezentowała, nie miała ograniczonego czasu wystąpienia. Każda partia występowała ze swoim własnym stanowiskiem i na swoją odpowiedzialność.

Stworzyło to atmosferę sprzyjającą wymianie poglądów i szukaniu dróg wiodących do prawdziwej, nowej jedności ruchu komunistycznego. Delegacje poszczególnych partii przedstawiały swoje stanowiska swobodnie, z pełnym przekonaniem, że zostaną wysłuchane i z przeświadczeniem, że różnice, jakie ujawniają, nie staną się przyczyną potępienia, czy też przeszkodą w opracowaniu konstruktywnych wniosków. Nic więc dziwnego, że w takiej atmosferze na spotkaniu zostały zaprezentowane prawdziwe, zgodne z przekonaniem i doświadczeniem poszczególnych partii poglądy, które w wielu wypadkach różniły się między sobą. Poglądy te przedstawione zostały nie tylko w zamkniętym kręgu uczestników spotkania. Każda delegacja miała prawo publikowania według swojego uznania wszystkich materiałów spotkania, a także spotkania się z prasą na specjalnie organizowanych konferencjach prasowych. Właśnie na tych konferencjach my, dziennikarze, mieliśmy możliwość zapoznania się z poszczególnymi stanowiskami i zadawania pytań, na które uzyskiwaliśmy pełne, szczerze odpowiedzi. Zdarzało się, że w ciągu jednego dnia występowało kolejno po sobie trzech przewodniczących trzech delegacji i każdy zajmował inne stanowisko w stosunku do tego samego problemu.

A takich problemów było sporo. Wystąpiły różnice zdań w odniesieniu np. do Oświadczenia Narady Moskiewskiej z 1960 r. na temat tego, czy na przyszłej naradzie należy dyskutować o problemach ideologicznych, czy narada powinna opracować jeden wspólny dokument programowy. Podniesione były głosy co do charakteru przyszłej narady, ponieważ część delegacji proponowała, aby jej skład rozszerzył i oprócz partii komunistycznych zaprosił na nią także ruchy antyimperialistyczne.

Różnice te nie wplynęły negatywnie na wyniki obrad, ale — na odwrót — nadały im charakteru nieskrapowanej, swobodnej wymiany poglądów i budowania mostu do jedności przez przemilczenie różnic, ale za pomocą ich ujawniania i osiągnięcia kompromisu, nawet jeśli poszczególne partie zachowywały swoje odrębne stanowisko, swoje odrębne poglądy.

Z tego frontu wylamala się tylko delegacja Rumuńskiej Partii Komunistycznej. Dla dziennikarzy zgromadzonych w budapeszteńskim centrum prasowym stanowisko Rumunii nie było zaskoczeniem. Większość przedstawicieli zachodniej prasy przybyła do Budapesztu po to, by obserwować z bliska postępowanie Rumunów.

Delegacja rumuńska, chociaż w swoim referacie

Jan Kolkowicz

NA kieleckim brzegu, niedaleko ujścia Sanu do Wisły, pośród wyniosłych skarp, spod których tu i ówdzie szczyta swoje żółte zęby skalne fosforfory, czerwienią dachówek przykucnął Zawichost. Miasteczko niewielkie, znane za ledwie z komunikatów radiowych o stanie wód na Wiśle, jakieś senne, leniwe, cierpliwie zapatrzone w wodę, wydawać by się mogło — o bożym świecie nie wiedząc. W wiślanej toni przegladają się schludne domki, kąpią się w niej siedmioletnie mury bazyliki, z górą sześć wieków liczące. Od brzegu bezszelnie odbija barka, cicho chłupocząc wiosło. Rewia świateł zawichostyńskiego brzegu powoli ucieka ku tyłowi. Płyniemy.

Wiosło raz po raz uderza o taflę wody. Leniwe kołysze się barka po Wiśle, integralną część zawichostyńskiego krajobrazu. Patrzę na przezońnika. Twarz koścista, wystrzone rzy, prawie siedemdziesiąt lat w karku. Dłonie wychudłe ze starości, splekane od pracy. Ale ramiona silne, zahartowane w codziennym zmaganiu z wodą. Można ufać temu człowiekowi. Wierny swemu wioślowi ten syn kieleckiej ziemi przeszło pół wieku spędził już na wodzie.

— To moja miłość, ta woda! Stary się rozrzewnia. Wyciąga spracowane ręce. Patrzę na te jego żylaste dłonie, spalone słońcem, splekane od wiatru. Przewoził stary partyzantów i hitlerowców, kontrabandę i uciekinierów, ludzi wszelkiej maści i nacji. Wiosła, życiodajne wiosła, cierpliwie kreśliły swą półwieczną, mało znaną, burzliwą historię.

Powoli, wymiera romantyczny ród przewoźników. Ostatni Mohikanin, Roman Pawlik, z rozrzewnieniem mówi o historii swego życia. Snuje się ta historia w takt plusku wody rozbijającej się o dziób barki, w szum fal i szelest wiosel.

Na jednym promie

Wstawał pogodny dzień wrześniowy 1943 roku. Mgła, jak postrzępiona wata, leżała jeszcze na Wiśle, ale świt zaróżowił już wierzchołki drzew i domy Zawichostu. Pierwsze promienie brzasku zastały Romana Pawlika, jak zwykle na promie. Dla starego przewoźnika zaczynał się pracowity dzień, podobny do szeregu innych dni w pocie czoła spędzanych na wodzie. Dziś jednak stary nie przypuszczał nawet, jak wiele emocji nań czeka. Manipulował właśnie coś przy wiosłach, kiedy nadeszli pierwsi pasażerowie. Byli to żołnierze Wehrmachtu stacjonujący w pobliskiej szkole, którzy od kilku dni budowali przyczółek na lubelskim brzegu Wisły. Kiedy Niemcy — a było ich około trzydziestu — załadowali się na prom, zza skarp wyszło nieoczekiwanie trzech niezamierzonych cywili. Była to scenka interesująca. Jeden z nich, krepki, barczysty budowy mężczyzna, nie zwracając uwagi na Niemców, szybkim krokiem podszedł do przewoźnika i glosem nieznającym sprzeciwu rozkazał:

— Nie odpływać! Wiosło zakreśliło szeroki łuk w powietrzu i opadło na prom. Przewoźnik rozłożył ręce. Na promie zwartą grupą stali Niemcy gotowi do przeprowadzenia. W brzasku wschodzącego słońca migotały grube lufy ich Bergmanów i Schmeiserów. Nie wiadomo było, kogo słuchać. Pytający wzrok przewoźnika nie schodził z twarzy nieznanego przbyzsa. Prześliznął się na twarz niemieckiego dowódcy. Młody, rumiany leutnant wysunął się do przodu. Chciał coś powiedzieć, ale w tym momencie ugryzł się w język. Zza skarp poczęły wychodzić nowe cywile, jeden za drugim, gęste, uzbrojeni w broń maszynową. Zgrupowali się przy promie. Partyzanci... Leutnant momentalnie wycofał się między swoich.

Barczysty mężczyzna, ten który rozmawiał z przewoźnikiem, widąc dowódcę, dał znak ręką. Partyzanci poczęli wchodzić na prom. Wehrmachtowcy usunęli się skwapliwie na jedną stronę promu. Młody leutnant, mocno splepszony, przeciskał się między swoimi i powtarzał w kółko zdławionym głosem:

— Achtung, Kameraden! Achtung! Achtung!... Partyzanci tymczasem zajęli miejsca naprzeciw. Krzyżowały się spojrzenia w najwyższym napięciu nerwowym. Przewoźnik poruszył się niespokojnie przy wiosłach.

— Czy mam ruszać? — Jeszcze nie! — padła odpowiedź z polskiej strony.

W tym samym momencie zza skarp nadjechała bryczka powożona przez jednego z partyzantów. Była po brzegi załadowana bronią i amunicją. Niedyskretnie szczyrzyło z niej swoją lufę niewielkie działko. Wehrmachtowcy stali, jak wryci. Cisza zalegała prom, jak makiem zasiał. Słychać było tylko plusk wody, rozbijającej się o bur-

zę. W tej niespokojąco złowrogiej ciszy jak dżwon zabrzmiął głos polskiego dowódcy:

— No to fruwamy, panie starszy! Uderzyli o wiślaną toń wiosła. Prom zakolysał się na wodzie. Płynęli ku lubelskiemu brzegowi. Obydwie strony skłócone ze sobą paragrafem wojny. Ocierając się niemal twarzami o siebie. Płynęli w idealnej zgodzie. I w czasie tej osobiwej przeprowadzki nie padł ani jeden strzał. Niemcy wyszli pierwsi z promu na lubelski brzeg. Za nimi partyzanci. Zaturkotała bryczka po wiślanym skarpach. Obydwa oddziały znikły w dwu różnych kierunkach, podążając na swój różny ślad wojny.

Wieczorem, kiedy oddział niemiecki wracał protem do Zawichostu, hitlerowcy byli bardzo podnieceni. Rozglądali się trwożnie po brzegu, powtarzając: „Polnischen Partisanen!”

— A tak mało brakowało, i miałyby z nas rybki ubaw, panie, o! miałyby — wzdycha z rozrzewnieniem stary przewoźnik.

O krok od śmierci

Kiedy Lubelszczyzna i Kieleckie rozbrzmiewały salwami partyzanckiego ognia, kiedy w takt partyzanckich marszów rodziła się tutaj „partyzancka rzeczpospolita”, zawichostyńska Wisła była jedynym pomostem łączącym obydwie regiony kraju.

Niepoślednią rolę w owej partyzanckiej batalii odegrał Roman Pawlik, ten sterany dziś zyciem skromny przewoźnik, na którego skroni tamte czasy wyorały niejedną bruzdę. Jego piersi nie zdobią wprawdzie ordery wojskowe, pieśń gminna nie wynosi również pod niebiosa jego heroizmu, ale Roman Pawlik nieraz w latach owej epopei partyzanckiej dawał dowody wielkiej ofiarności i męstwa. Jego mocne, splekane dłonie, jeszcze dziś trzymające tak twarde wiosła, niejednemu partyzantowi ocaliły życie.

Kiedy rozgorzała sławetna bitwa w lasach lipskich na Lubelszczyźnie, Pawlik całe noce spędzał na promie, przeprowadzając na kielecki brzeg rannych partyzantów. Tutaj, w Zawichostcie, znajdował się punkt sanitarny z nieodżałowanym dr Czają, który operował rannych (zginął później w kazamatkach gestapo w Sandomierzu). Roman Pawlik oddawał też nieocenione usługi w czasie przegrupowań partyzanckich, spędzając całe noce na promie.

Któreś z owych pracowitych wiślanych nocy śmierć zająłaby mu blisko w oczy. Na stacji kolejowej Jasice jeńcy radzieccy wyłamali podłogę w wagonie i zbiegli z transportu. Niemcy patrolowali całą okolicę. Pod ich bokiem Pawlik całą noc uwijał się na swoim promie, przewożąc jeńców na lubelski brzeg. Aż go wymacali Niemcy usadowieni na wiślanej skarpie. Zachłamał się ogniem niemieckiego cekaema. Pawlik nie namyślając się długo rzucił się w pław do Wisły i nurem dopłynął do brzegu zjeźdźcego ogniem. Zanurzony po szyję w wodzie, stał tak do samego rana. Parę metrów wyżej, na skarpie, zachłystywał się ogniem niemieckiej karabini maszynowej, dziurawiając jak sito prom. Rano, kiedy Niemcy odeszli, wyciągnięto go z wody na wpół żywego. Mimo tej przygody, nie opuścił nigdy wody. Wierny wiosłu pozostał na barce.

Z bandziorami przez Wisłę

Po latach wojny nastały nowe czasy. Ale nieraz jeszcze praca na barce obfitowała w przygody. Często przewoził Pawlik wszelkiej maści rabusiów i bandziorów.

— Czy ci z łupem placili za przewóz? — pytam przewoźnika. — Mielł przecież czym.

Stary zapera się. — A niech ich zaraza pokręci, jak placili. Jak raz ścierwa zgubił skrzynkę z masłem, to na drugi dzień przyszli do chaty i chcieli mnie zastrzelić, posadzając o kradzież. Ledwie uciekłem.

Ostatni Mohikanin

Świty na krypie. Na krypie żar sierpniowego południa i chłody zimowych zachodów. Na krypie noce gonące zatopiony w wiślanej głębinie księżyc. Całe życie na Wiśle. Pawlik zna ją na pamięć jak pacierz. Zna każdy jej wir, każde zagłębienie. Zna wszelkie jej zdradliwości. One nauczyły go smaku chleba i walki o życie, romantyki wiosła i miłości do wody.

— Bez niej bym już chyba żyć nie potrafił — marzy stary.

Nie wiem, po raz który przepływam rzekę. Ale opowieść dobiega końca. Może już ostatni raz płynę tę bezszelstną barką i słucham tej wiślanej epopei. W warkocie współczesnych motorów zamiera wspaniała tradycja rodu przewoźników. Dziś już nikt z młodych ludzi nie garnie się do tego rzemiosła.

(Dokończenie ze str. 1)

Szczególnie ciepło odnosił się Gorki do wybitnego polskiego rewolucjonisty Feliksa Dzierżyńskiego, z którym zapoznał się prawdopodobnie w 1909 roku. Od razu też zawiązały się między nimi stosunki przyjaźni oparte na jednorodności poglądów w kwestiach najważniejszych wydarzeń współczesności. Dzierżyński widział w Gorkim wyznawcę tych samych idei, piewę proletariatu, wiernego syna swego narodu i poświęcił wiele czasu na rozmowy z nim. Uderzającą trafną charakterystykę Gorkiego, jako człowieka i pisarza, znajdujemy w liście Dzierżyńskiego do L. Tyszkii z 11 lutego 1910 r. z Capri:

Dość często spotykam się z Gorkim, odwiedzam go, niekiedy spaceruję z nim. Zrobił na mnie ogromne wrażenie swoją prostotą i radością życia. Najwidoczniej mężczy go fakt, że jest na wygnaniu, przywołuje całe obrazy wsi i miast i żyje tym tak, jak gdyby sam tam był, będąc duszą narodu, jego poeta, jego głosem i nadzieją... To poeta proletariatu, wyraził jego kolektywnej duszy i, być może, kapłan boga — narodu.

Przy całej odmienności losów i indywidualności charakterów, tych dwóch niezwykłych ludzi łączyła wierność sprawie rewolucji i umi-

łowanie człowieka. Zławsza dobitnie przejawilo się to po październiku, kiedy z woli partii wręczono Dzierżyńskiemu karzący miecz rewolucji, a Gorki nie mniej silną bronią godził w świat Artamonowów, Bulyczowów, Somowów, Samginów.

Szczególnie wszechstronne były kontakty Gorkiego z polskimi kółkami literackimi. Umiał on cenić inicjatywę, rozum, talent swoich kolegów, snuł wiele planów współpracy, odnajdował coraz to nowe tereny działalności, okazywał polskiemu pisarzom pomoc materialną i podniecał iskrę talentu u każdego, choć trochę zdolnego literata.

Szczere zainteresowanie Gorkiego twórczością Polaków widać już w liście do dyrektora handlowego wydawnictwa „Znanije” (Wiedza) K. Piatnickiego z datą 9 grudnia 1902 roku, gdzie w trochę przesadnym tonie wychwala on dramaty historyczne Zygmunta Kraszińskiego: „Przysłał „Irydion”. Drogi przyjacielu, niech pan przeczyta tę piękną, wspaniałą rzecz. Trzeba ją wydać — koniecznie!

Faktem zmiennym i symptomatycznym dla zrozumienia wciąż rozwijających się kontaktów Gorkiego z działaczami kultury polskiej było opublikowanie w VII tomie Almanachu „Znanije” z 1905 r. obok sztuki Gorkiego „Dzieci słońca” i cyklu wierszy Bunina „Wschód” — romantycznego, w znacznym stopniu alegorycznego i filozoficznego poematu polskiego prozaka Gustawa Daniłowskiego „Na wyspie” w przekładzie Czeremnowa.

Przebywając na Capri, Gorki świadomie szukał powiązań z czołowymi ludźmi swojej epoki, postępowi pisarze czekali z kolei na poparcie i radę znanego już wówczas na świecie autora „Pieśni o Buriewiestnikach”, który tyle kłopotów sprawiał władzom carskim. W takich okolicznościach nastąpiła znajomość Gorkiego z Zeromskim, Daniłowskim, Brzozowskim i innymi.

8 lutego 1907 r. w liście do Jekateriny Pieszkowej Aleksy Maksymowicz donosił: „Przyjechał tu Zeromski, dziś go oczekuję... Ja i K. (onstanty) i P. (pietrowicz) rozmawiamy z nim, czekamy na Daniłowskiego, by za jego przyjazdem rozstrzygnąć pewną ważną sprawę. A w tygodniu później w liście do Ladyżnikowa określa swój stosunek do Zeromskiego, uściśla pewne sprawy i donosi o zamiarze wydania zbioru opowiadań: Zeromski jest bardzo sympatyczny. Myślę o wydaniu zbioru autorów polskich. Idea wydania zbioru długo nie opuszczała jej inicjatora. W liście do polskiego historyka literatury i publicysty Wilhelma Feldmana pisał: W tych dniach będą rozmawiać z S. Zeromskim o wydaniu w języku rosyjskim „Zbioru dzieł współczesnych literatów polskich” i jeśli to wydanie dojdzie do skutku, co jest prawdopodobne, będziemy myśleć o przekładzie i wydaniu Pańskiej książki.

Wtedy też tworzono zespół autorów, prowadzono rozmowy z wydawnictwami, przeprowadzano

konferencje w sprawie charakteru i objętości wydania. Choć planowany zbiór nie ujrzał światła dziennego, jednak ujawnił zakres ocen i zamiarów Gorkiego. Jego entuzjazm, pochwały, których nigdy nie skąpił, rozumieł i wielce sobie cenili przedstawiciele polskiej kultury.

Oczywiście, należy tu podkreślić koniecznie przenikliwość i rzetelność Gorkiego w ocenie skomplikowanych zjawisk. Ceniąc talent Zeromskiego, nigdy nie był załepiony i jasno zdawał sobie sprawę z jego słabych stron, wywołanych skrajnie nacjonalistycznymi nastrojami panującymi wśród określonej części inteligencji tamtych lat.

W szkicu „O jednostce”, napisanym w 1929 roku i opublikowanym w 1960 r., Gorki opowiada o samorodnym, utalentowanym, prostym człowieku, marzylicy Aleksym Siemionow, który po rewolucji został komisarzem ludowym Jakutii. Pisarz przytacza ciekawy epizod:

Kiedy Aleksy Siemionow był u mnie na Capri, mieszkali tam dwaj pisarze: Ukrainiec Michaił Kociubicki i Polak Stefan Zeromski... Chciałbym mieć takich ludzi jak ten u siebie w Polsce — powiedział Zeromski po tym, jak zobaczył Siemionowa i posłuchał go. Pamiętam, bardzo mnie zdziwiły te sło-

wicza „Bez dogmatu” dla określenia choroby tzw. „dzieci wieku”. Myśl o powtarzaniu się zjawiska „upadku bohatera” w świecie opartym na zasadach własności prywatnej wydała mu się na tyle aktualną i ważną, że w formie uogólnienia i w nieco szerszym aspekcie powtórzył ją później we wstępie do książki A. Winogradowa „Trzy barwy czasu”. Staje się więc zrozumiałe, dlaczego po rewolucji 1917 r. w serii „Historia młodego człowieka XIX stulecia” pod redakcją Gorkiego została jeszcze raz wydana w języku rosyjskim powieść Sienkiewicza „Bez dogmatu”. Jest faktem, że tworząc swe postacie — typy o wielkiej sile uogólnienia — Gorki nie mógł przejść obojętnie obok osiągnięć literatury zachodnioeuropejskiej. W liście do Romain Rollanda z 30 stycznia 1933 roku uznaje on bezpośredni związek bohatera epopei „Życie Klimy Samgina” z postaciami bohaterów wybitnych mistrzów pióra Europy zachodniej: Widzę podobieństwo Samgina do niektórych bohaterów literatury europejskiej XIX wieku, zaczynając od Juliana Sorrela, następnie poprzez postacie „Werthera” — Goethego, „Syna wieku” A. Musseta, „Ucznia” Bourgeta do bohatera powieści Sienkiewicza „Bez dogmatu”.

Dłatego też pochodzenia zjawiska tzw. „pustej duszy” nie można tłumaczyć tylko warunkami przedrewolucyjnej rzeczywistości. Drogę do odkrycia tego zjawiska utworowali pisarze rosyjskiego także inni genialni pisarze świata. I natrafiamy tu znowu na ogólną prawidłowość rozwoju myśli twórczej, po raz pierwszy tak jasno uchwyconą przez wielkiego twórcę proletariackiego.

Nietrudno zauważyć, że we wszystkich swych rekomendacjach, danych bądź korespondentom, bądź też czytelnikom i wydawnictwom, Gorki był zawsze bardzo skrupulatny i wymagający. Jego wybór utworów polskich dla czytelnika rosyjskiego odznacza się szczególną starannością. Uwagę jego zwracały tylko utwory o najwyższym poziomie artystycznym i ogromnym ładunku ideowo-emocjonalnym. Modernistyczne uduwnienie utworów Przybyszewskiego, czy skrajności nacjonalistyczne Reymonta, zawsze wywoływały zdecydowany sprzeciw pisarza.

Odrzucając zatem wszystko, co stanowiło przypadkową naleciałość i wątpliwą wartość polskiej klasyki, był Gorki genialnym selekcyjnerem prawdziwych wartości estetycznych i propagatorem najlepszych jej wzorów. Zalecał młodzieży literackiej doskonałe talenty pisarskie, opanowanie sekretów warsztatu twórczego, drogą korzystania ze skarbnicy odwiecznej kultury światowej, której nieodłączną część stanowi przecież i kultura polska.

Iwan Wiszniewski

Przyjacieł polskiej kultury

Nietrudno zauważyć, że we wszystkich swych rekomendacjach, danych bądź korespondentom, bądź też czytelnikom i wydawnictwom, Gorki był zawsze bardzo skrupulatny i wymagający. Jego wybór utworów polskich dla czytelnika rosyjskiego odznacza się szczególną starannością. Uwagę jego zwracały tylko utwory o najwyższym poziomie artystycznym i ogromnym ładunku ideowo-emocjonalnym. Modernistyczne uduwnienie utworów Przybyszewskiego, czy skrajności nacjonalistyczne Reymonta, zawsze wywoływały zdecydowany sprzeciw pisarza.

Odrzucając zatem wszystko, co stanowiło przypadkową naleciałość i wątpliwą wartość polskiej klasyki, był Gorki genialnym selekcyjnerem prawdziwych wartości estetycznych i propagatorem najlepszych jej wzorów. Zalecał młodzieży literackiej doskonałe talenty pisarskie, opanowanie sekretów warsztatu twórczego, drogą korzystania ze skarbnicy odwiecznej kultury światowej, której nieodłączną część stanowi przecież i kultura polska.

Iwan Wiszniewski

Kamena str. 3

Wakacyjny dziennik

Zbigniew Bauer

To był już trzeci konkurs literacki dla młodzieży, zorganizowany przez Zarząd Wojewódzki ZMS w Białymstoku oraz Kuratorium Okręgu Szkolnego w Białymstoku, tym razem także przy współudziale redakcji „Kamery”. Ogłoszony jeszcze w ub. roku pod hasłem „Mój debiut” miał na celu wywołanie tych młodych ludzi, którzy przejawiają ziarno talentu.

Na konkurs nadesłano 151 prac, w tym 150 wierszy oraz 49 utworów prozatorskich. Dzieląc się na dwie jury — w której skład wchodziła „Kamera” wazeli red. J. Dostalni — za najlepszą pracę prozą uznał WAKACYJNY DZIENNIK Zbigniewa Bauera, ucznia I klasy Liceum Ogólnokształcącego im. S. Żeromskiego w Siku. Dwie drugie nagrody: Teresa Jurska za opowiadanie METALOWY CZŁOWIEK oraz Andrzej Bytno za opowiadanie BŁEKITNE LIŚCIE, trzecią krytyczną R. T. za opowiadanie MIOD DZIKICH PSZCZOŁ, wyróżnienie Anna Wisniewska za MOJE WSPOMNIENIA Z WAKACJI. W dziale poezji pierwszą nagrodę uzyskał Bożena Petowicz, drugą Jan Podziwowski, wyróżnienie Maria Matysiewicz — wszyscy za zestawy wierszy.

Zbigniew Bauer w nagrodę otrzymał wycieczkę do ZSRR, pozostał laureatki bony książkowe wartości od 200 do 300 zł.

Jury uznało, że konkurs spełnił swoje zadanie. Powinno on być nadal organizowany co roku, jednak temat winien być bardziej sprężysty, a wiek uczestników ograniczony od 16 do 23 lat. Drukujemy „Dziennik wakacyjny”, wyróżniony I nagrodą w dziale poezji.

14 czerwca 1967 r.

Skończyłem rok szkolny. To znaczy, że tylko ja skończyłem. Koledzy wyjechali na wycieczkę, ja zaś zostałem w domu ze skróconą nogą. Może i dobrze, mogę się trochę pouczyć, poczytać. Za tydzień będę miał egzamin. To moja pierwsza próba... Co w niej wykaże?

Siedzę teraz pod jabłonią, robię przykłady matematyczne. Pszczoły wiszą gdzieś wysoko i brzęczą. Matematyka... Bardzo lubię ten przedmiot, ale jakoś boję się go. Nie wiem, ale zawsze myślę, że nie nic nie umiem. „Wiem, że nie nic nie umiem”. Sokrates... Wspaniały człowiek. Wiem, że nie... Eee, co za bzdury przychodzi mi do głowy! a plus a równa się...

17 czerwca

Jestem absolwentem ośmiolatki! Osmio! Dziś po rozdaniu świadectw chodziłem po mojej starej „budzie” i szukałem tego Zbyszka sprzed ośmiu lat. Nie znalazłem... Dlaczego?

Fatalnie tańczę. Nie chcę, czy nie umiem się tego nauczyć. Dlatego też może wyszedłem wcześniej i poszedłem wzdłuż starych murów

szkolnych. Blask lamp ulicznych odbijał się w ciemnych, pustych oknach. Mur się skończył, dalej nie było już tych okien. Stałem, ale nie obejrzałem się. Tak oto pośle na moje dzieciństwo.

21 czerwca

Zostałem przyjęty bez egzaminu! Miałem oceny kwalifikujące mnie do zwolnienia. Cieszę się, strasznie się cieszę. Mam prawo do noszenia czerwonej tarczy licealnej. Widziałem moich kolegów, białych, pełnych obaw i niepokoju, z zamętami w głowach. Jakże chciałbym, żeby wszyscy pomyślnie zdali.

3 lipca

Mam słońce, mam wiatr, wodę i gorący błękit. Mam wakacje i pogodną myśl. Płynę łódką. Woda za włosami pieni i burzy. Płynę w ten błękit, chłone go całą duszą. Słońce wisi za plecami, zielony brzeg przesuwają się obok. Pola, dojrzewające zboża, brunatne plamy krów na pagórkach, trzciny przy brzegu. Jakże pięknie jest na Ziemi! Jakże pięknie jest żyć!

6 lipca

Kocham słońce i kocham deszczowe chmury. A było dziś trochę deszczu. I były chmury, uderzenia kropel w rynnach. Deszcz padał i dzwonił o szyby, płynął po gładkich taflach kreśląc fantastyczne wzory. To mój deszcz, to deszcz jak fuga. Gdybym mógł napisać tym taką fugę. Fugę, jaką gra deszcz na stu dachach i szybach, na tysiącu liści i poczeriałych pni.

10 lipca

Czytałem Gałczyńskiego. Ten poeta jest dla mnie we wszystkim. W deszczu, w drzewach, w przepływającym obok okien księżycu, nawet w zielonym żuku, który pomazzerował wzdłuż czarnych rzędów liter. Mistrz Konstanty wie, czego potrzebuje młode serce.

15 lipca

Deszcz rozpadał się na dobre. Chmury idą z północy, suną nad dachami, w pokoju robi się ciemno i ponuro. Deszcz pada, bije w szyby, dzwoni w blaszany parapet. Ale gdzieś daleko rozjaśnia się, wiatr rozpędza chmury, a potem deszcz cichnie.

Chmury są jak ludzkie myśli. Jedne są ciężkie, bolesne, pełne trosk. Inne są jasne, świetliste, pełne wiary w przyszłość. Są i takie, które zwisają niby kląskę białej waty i lekkie wiatry je rozwiewa. Niebo jest jak ludzkie czoło. Malują się tu myśli, barwy nastrojów i uczuć.

26 lipca

Jest dziś gorąco i duszno, wilgotna od wczorajszego deszczu ziemia oddycha głęboko i ciężko. Słońce świeci przez mgłę zasnuwającą niebo.

Powrócił mój niepokój. Przejdą wakacje, znajdzie się w nowej szkole. Jaka będzie ta nowa szkoła, jaki będę ja? Co przyniosą dni nauki w nowym środowisku?

30 lipca

Wbiłem sobie te pytania w głowę. Wyrzucałem nawet sobie, że gapię się na jakieś tam chmury, czy księżyc, czytam wiersze, i że całkiem zduriałem. „Ciesz się dobrze uczyć? No to powłócz się po lasach, popatrz jeszcze na ten wariacki księżyc, a zobaczysz jak na tym wyjdiesz”. A coś drugiego mówiło — „popatrz, popatrz, zbieraj zboże; popatrz, popatrz jaki księżyc nad jeziorem”.

Łaziłem więc. Ja — pseudoromantyk i pseudorealista. Łaziłem — stwór mi w pięć ni w dziesięć. Niby przyziemny, a usiłujący ręką łapać gwiazdy.

2 sierpnia

Placzą się w mej lepetynie różne myśli. Placzą się zawsze. „Sfrustrowałem się”? Chyba nie, to nie to. Mówią: „cielecy wiek”. Więc dobrze, to my. To my „cielecy”. To my — którzy kurzymy w ustronnych miejscach, to my, którzy lubimy jeszcze bajki Andersena. Niby dorosli, a jeszcze tak młodzi. Jedziemy z pluszowym misiem na koniu na biegunach. Przed siebie, w czas, w lata. Spadamy coraz niżej, a z porzuconego misia zaczynają sypać się trociny. Nie, nie moralizuję. Wcale nie nazywam się szalenie przywołanie wychowanym chłopcem, lalkowato uśmiechniętym i piszczącym pod każdym nacisnięciem, jak gumowy zajak. A to co mówię, to tylko logicznie wyciągnięte wnioski. Ktoś powiedział: „Najlepiej weź życie w zęby. Jeśli będzie ci gorzkie — wypłuć”. To nieprawda, gorzka pigułka bywa najskuteczniejsza.

6 sierpnia

To, co napisałem ostatnio, pomaga mi wypłatać się z różnych wewnętrznych załamania i zawała. Muszę żyć i chcę tego. W czasie tych wakacji pojąłem, że dobrze jest żyć. „Żyć trzeba i trzeba cierpieć” — to słowa mojej Matki. Tyłko do niej mogę zwrócić się, gdy coś mnie boli. Wiem, że nie zawiedzie. Może się czasem „lamie”, białe nad sobą i gadam od rzeczy. Ale zawsze znajdę pomoc i radę u mojej Matki. Dziękuję Jej za to.

16 sierpnia

Długo siedziałem w oknie i patrzyłem na zapadający zmierzch. Właśnie nad dachy wypłynął księżyc, a księżyc zawsze mnie rozśmiesz-



Fot. R. Siekko

sza. Wylazi miłczkiem jak złodziej, wygląda, że nie go nie obchodzi i że jest obrażony na światło elektryczne. Mówi: „Radźcie sobie beze mnie”. Wszelako, dawał się zawsze ublażać i pod jaśminowym krzewem wyluskiwał nagłym promieniem przestraszonego kota. Objeżdżał miasto w posiadanie. Gdy gwar już cichł i czuć było falowanie powietrza pełnego cykania świerszczy, wypływał ON — gruby i zadowolony z siebie. Czasem mruczał jak kot, czasem pokazywał język. Lysy i stary emeryt — księżyc wiedział zawsze, na co ma patrzeć. Udawał z początku, że jest zainteresowany, a potem zjeżdżał po poręczy parku — po pniach drzew, szedł chyłkiem po trawniku, obojętnie wachal maciejkę na klombie i wreszcie zatrzymał się na laweczce, gdzie tylko ich dwoje znało siebie i widziało tylko siebie. Nie protestowali przeciw wizycie starego emeryta. Wiedzieli, że jest on pobłażliwy i wyrozumiały, gdy zaś stwierdzali, że za dużo sobie pozwala i chcieli go odgonić — już go nie było. Łaził pracowicie po konarach drzew coraz wyżej i wyżej, by zgasać w końcu w blasku wschodzącego słońca.

Taki to był ten stary druh, zawsze miły księżyc.

30 sierpnia

Mam nowe książki, obejrzałem je i znowu napadył mnie ponure myśli. Jakie to trudne. Jak ja sobie z tym poradzę. A chcę, bardzo chcę się uczyć. Wiem, że dzisiejszy świat, świat pełen nienawiści i niezgody, to świat w którym żyję.

Nie widziałem wojny nigdy. Znam ją z opowiadań i książek. Jest to jedyna rzecz, której nie chciałbym sam zobaczyć, przeżyć. Współcześni ludzie znają tajemki materii, rozszepiają jądra atomów, a nie potrafią zniszczyć w sobie nienawiści, żądy podbojów i zadawania cierpień innym.

Stare pokolenie odejdzę. Odejdują ludzie, którzy widzieli zło, a może i zło czynili. Świat należeć będzie do nas, dzisiaj jeszcze młodych. Jak poprowadzimy ten okręt pośród tych burz? Będę jednym z nich. Nie zastanawiałem się jeszcze nad wyborem zawodu. Powinno jednak być, wiem dobrze, powinienem być przede wszystkim człowiekiem — takim, który z dumą może patrzeć w twarz niebezpieczeństwom. Muszę poradzić wszystkiemu. Przyrzekam, że nigdy nie będę „brał życia w zęby”.

3 września

To już koniec wakacji. Jutro pójde do szkoły. Jak przed ośmiu laty. Będę sam, będę przestraszony i spłoszony. Nowa szkoła, nowi ludzie...

Na razie zachodzi słońce. Mam przed sobą otwarty mój wakacyjny dziennik. Kilka stron gryzmołów, trochę jakichś rysunków, myśli, trochę światła, deszczu i nieba. Ale coś w nim jest, coś pozostało z tych słonecznych dni, kiedy cieszyłem się pogodą i dni deszczowych, kiedy czytałem Gałczyńskiego.

Na razie zachodzi słońce, potem nastąpi noc, gdy zaś słońce znów wzejdzie będzie już Nowy Dzień. Jaki będzie? Co przyniesie?

O NAUCZYCIELACH każdy inaczej

(Ciąg dalszy ze str. 1)

chylności i chęć obcowania wychowawczego, przypisując jednocześnie większą rolę kształceniu i samokształceniu nauczycieli niż czynnikom dziedzicznym i wrodzonym. Zdaniem Mieczysława Kreutza nauczyciel idealny łączy w sobie trzy cechy: lubi młodzież, pragnie na nią wpłynąć, posiada zdolność sugestywnego oddziaływania, charakterystycznego dla wodzów porwujących masy. Nauczyciel urzekający młodzież bez sympatii dla niej — to raczej agitator. Lubiący uczniów, ale bez mocy oddziaływania — to poczciwiec, może lubiany, ale nie szanowany za brak wyników nauczania i wychowania.

Ludwik Bandura („Głos Nauczycielski” nr 7/68) powiada, że od nauczyciela potrzebujemy nie tylko „dobrej znajomości tego przedmiotu, którego wypadnie mu uczyć”, ale i samodyscypliny, światopoglądu ukształtowanego na znajomości filozofii, umiejętności organizowania, planowania i systematyzowania, stosowania nowoczesnych metod w imię postępu pedagogicznego. Zatrzymajmy się na chwile na sugestii niektórych pedagogów radzieckich. Poczynania Antoniego Makarewicz napawają przekonaniem,

że dar wychowywania przez kolektyw i pracę produkcyjną oraz oddziaływanie magią żywego słowa dzięki elokwencji, intonacji i dykcji — to chyba skuteczne atrybuty rasowego pedagoga dzisiejszych czasów. Zbierając dane o takich właśnie pedagogach, psychopedagog F. Gonobolin uważa za istotę osobowości nauczyciela radzieckiego światopogląd naukowy, postępowość, humanizm, patriotyzm i doświadczenie nauczycielskie, nazywane — według niego niesłusznie — intuicją pedagogiczną. Ow dar sugestii nauczycielskiej, o której mówił Kreutz — to dla Gonobolina nie innego jak silne przekonanie o słuszności swych wymagań wobec uczniów.

Studując wyżej przytoczone i pominięte tu wywody, wychwycimy być może dwa przeciwstawne modele: tradycyjny, zwany żartobliwie woskowym, i nowoczesny, określane jako kamertonowy. Pierwszy model odzwierciedla nauczyciela jako rzeźbiarza ugniatającego do wolnie wosk uczniowskiej duszy według określonego wzoru, pedagog jest więc tu układem aktywnym i narzucającym swą wolę, a wychowanek biernym odbiorcą i twórczym. Natomiast współczesna koncepcja widzi w obu układach — nauczyciela i ucznia — cybernetyczne sprzężenie zwrotne dwóch kamertonów, czyli widełek stroikowych: nauczyciel nie tylko przekazuje

wiedzę, umiejętności i nawyki, ale również steruje procesem uczenia się, odbierając od ucznia sygnały, które go informują. Jak uczeń odbiera przekaz nauczyciela. Dzięki tym sygnałom nauczyciel ustawicznie modyfikuje proces dydaktyczno-wychowawczy tak, jak inżynier kontroli technicznej, który mając słuchawki na uszach i ekran przed oczami, czuwa nad jakością nadawczą i odbiorczą mechanizmu sprzężeń zwrotnych. Nauczyciel więc nie tylko naucza, ale jest niejako nauczany przez uczniów, by doskonale proces dydaktyczno-wychowawczy, którego sprawność mierzona jest współdziałaniem dwóch układów niby kamertonów.

Jakich więc umiejętności wymagać można od nauczyciela na wskroś nowoczesnego, by w świetle dotychczasowych rozważań i zgodnie z duchem „cybernetycznego modelu kamertonowego” sprostał wymaganiom postępu pedagogicznego? Przede wszystkim ekspresji, polegającej na umiejętności wyrażania myśli, uczuć, pragnień i decyzji. Inna postulowana umiejętność — to spostrzegawczość pedagogiczna, czyli uczenie na sygnały uczniów, pomagające w modyfikacji procesu nauczania i wychowania. A poza tym wszyscy wymienieni wyżej pedeutologowie zgadzają się, że wiedza ogólna i pedagogiczna, doświadczenie życiowe i zawodowe, zaangażowanie społecz-

ne, nienaganna sylwetka ideowo-moralna — to warunki nieodzowne. Taki jest więc ten ideał i wzór osobowy, wylaniający się z wielowiekowych dociekań i nowoczesnych poglądów. Tyle teoria, która jednak wymaga konfrontacji z praktyką. A więc pytanie „Jak być powinno?” niechaj ustąpi miejsca równie ważkiemu pytaniu „Jaki jest?”.

Tu z kolei odwołajmy się do wypowiedzi uczniów, rodziców, nadzoru pedagogicznego i samych nauczycieli.

W oczach uczniów

Zacznijmy od najmłodszych obserwatorów sylwetek nauczycielskich, a więc od uczniów, tego najważniejszego przedmiotu oddziaływania pedagogów, który śmiało nazwać można „nosem” w stosunku do nauczycielstwa jako przysłowiowej „tabakierzy”.

Według badań ankietowych J. Sobańskiej („Psychologia Wychowawcza” nr 4/65) — w szkołach warszawskich 87,7% młodzieży szkół średnich uważa źle stosunki z nauczycielami, z tym jednak, że dużo lepiej przedstawia się sprawa wśród dziewcząt, zwłaszcza z tzw. dobrze wychowanych środowisk. Konflikty między młodzieżą a szkołą zastrzają się w 15—16 roku życia, a najważniejsze ich źródło — to ci nauczyciele, którzy irytują młodzież nieuczciwością, drażliwością, szorstkością, formalizmem, przesadną surowością, nieutrzymaniem karności, schematyzmami i nudnymi lekcjami, brakiem zrozumienia mentalności uczniowskiej. Należy dodać, że młodzież w pełni docenia nauczycielstwo zasługujące w jej mniemaniu na szacunek i podkreśla takie cechy pomocne w dobrych stosunkach szkolnych, jak: łatwy kontakt z uczniami, życzliwość, zrozumienie, opanowanie,

takt, autorytet oparty na wiedzy, intelekcie i sprawności nauczania. Z badań tych wylania się współzależność między dobrymi stosunkami a dobrymi ocenami i opiniami, a także ogromny wpływ wychowawczy na stosunek ucznia nie tylko do szkoły, ale i do domu.

Jeszcze ciekawsze światło na obraz nauczyciela w oczach ucznia rzucają badania Mikołaja Kozakiewicza („Nowa Szkoła” nr 7—8/58), który 502 uczniom szkół podstawowych i średnich ogólnokształcących dał wypracowanie na temat: „Jakiego nauczyciela chciałbym mieć i dlaczego?” oraz „Jakiego nauczyciela nie chciałbym mieć i dlaczego?” Oto cechy osobowości, jakie uczniowie pragną widzieć u nauczyciela:

Sprawiedliwy i obiektywny (265), cierpliwy, wyrozumiały (165), wymagający, stanowczy, energiczny (163), inteligentny, mądry, wykształcony (162), schludny, ładnie ubrany (143), umiejący jasno formułować myśli (140), wesoły, dowcipny, z poczuciem humoru (119), serdeczny i przyjaźliwy (98), starszy wiekiem (87), zamierzony w pracy, punktualny, systematyczny (67), wysportowany, umiejący grać w różne gry sportowe (61). Rzadziej wymieniane cechy — to umiejętność współpracy z ludźmi (17), pracowitość (13), uspołecznienie (7).

Z kolei przejdźmy do cech ujemnych, które młodzież wymienia w takiej oto kolejności:

Niesprawiedliwy, stronnictwo (118), sam mało wie, nie umie wyjaśnić lekcji (113), ordynarny, porusza gorszące tematy z uczniami, przeklina (88), pije wódkę, przychodzi do szkoły pijany (70), nerwowy, porywczy, niezrównoważony (69), zżęca się, bije dzieci (43), pali papierosy, szczególnie w szkole (43), brudny, niechlujnie ubrany (30), złośliwy, ironiczny, dokucza przyśmiewkami (25), ponury, zawsze skwaszony, wciąż niezadowolony (23).

CO JA teraz zrobię, pani doktorze? Tyko się powiesz! — chwytając się za głowę mój pacjent. Jest wyraźnie zrozpaczony, choć moja diagnoza nie powinna go zaskoczyć, przecież przyszedł po poradę sam, gdy zauważył u siebie objawy choroby.

Wyjaśniłam mu: rzeżączkę wyleczy się całkowicie. Choroba jest we wczesnym stadium. Dostanie antybiotyki, kuracja potrwa trzy dni. Nie wolno mu w tym czasie pić alkoholu i utrzymywać stosunków płciowych. Potem zbadam go raz jeszcze, dla pewności. No i trzeba poddać natychmiast leczeniu kobietę, od której się zaraził.

W myśli dodaje sobie, że ta kobieta mogła mieć jeszcze innych mężczyzn, a ci mężczyźni jeszcze inne kobiety — przez kilka dni łącząc zarazy przeskazywał się nieraz w szał. I my, to znaczy służba zdrowia, mamy obowiązek ustalić to, odszukać chorych i wyleczyć ich. W dodatku trzeba zrobić to tak, aby nikt nie zorientował się w łańcuchu chorych. Pan X, jeśli nabawił się rzeżączki od pani Y, powinien to powiedzieć lekarzowi, aby można było leczyć panią Y. Lekarz nie odwzajemni mu się jednak i jeśli uzyska informację, od kogo zaraziła się pani Y i kogo jeszcze zaraziła, nie powie tego ani panu X, ani nikomu innemu. W tej specjalności lekarskiej tajemnica zawodowa obowiązuje szczególnie ostro. Pocieszam więc pacjenta, że jeśli zastosuje się do moich wskazówek, wróci do zdrowia i nikt nie dowie się o jego przypadku.

Mój pacjent ma wygląd człowieka, który stoi nad przepaścią i wie, że będzie w nią musiał skoczyć.

— Boże, po co mi to wszystko było? Te małże sam jutro do pana doktora przyprowadzę — zapewniam — nie wiedziała, że jest chora, czy co? Pani magister! Co za brak odpowiedzialności, żeby zarazić innych. Ale ze mnie to idiota. Spotkałem ją w „Ewie”, wracając z imienia kolegi. Ja byłem w jednym towarzystwie, ona w innym. Znałem ją od dawna, przysiedliśmy się do niej, a potem ją odprowadziłem. Wie pan, w bramie na pożegnanie pocałowałem ją w rękę, potem coś mnie skusiło i w usta. Ona powiedziała „uspokój się, ludzie patrzy, co sobie pomyślą” i tak znalazłem się u niej w mieszkaniu. Diabli wiedzą po co tam poszedłem, pewnie dlatego, że trochę kręciło mi się w głowie. Tak rzadko kręciłam sobie na skok w bok, ech, trzeba pecha... Doktorze — łapie mnie za rękę — niech pan mnie ratuje.

— Proszę się uspokoić, dostał pan leki, wszystko będzie w porządku. — Nie będzie. Widzi pan, na drugi dzień wieczorem spałem z żoną. A objawy choroby wystąpiły trzeciego dnia rano. Na pewno ją zaraziłem. I co teraz zrobić? Rzucić mnie, znam ją, zażąda rozrodu, przedstawi w sądzie zaświadczenie lekarskie... Powie dzieciom, a są już w liceum, zrozumieją, zniechęcą mnie. Doktorze, niech mnie pan ratuje...

I wyjawia mi swój plan. Powie w domu, że ma jechać na jakiś kurs i musi mieć od dermatologa świadectwo zdrowia swoje i żony,

więc przyjdzie tu z nią do mnie, ja powiem, że żona ma jakąś drobną chorobę skórą, bakteryjną chorobę narządów rodnych, uspokoję ją, że to głupstwo, że za 7-10 dni będzie zdrowa i zajmę się leczeniem.

— Doktorze, musi pan tak zrobić, bo jak ona dowie się prawdy, to mnie rzuci — błaga mój pacjent.

— Czy muszę? Czy mogę? Spoczywa przecież na mnie obowiązek powiadomienia pacjentowi, że jest chory wenerycznie i poinformowania go szczegółowo, jak ma się leczyć i zachowywać. Muszę uprzedzić nie tylko o alkoholu, ale i o tym, że nie wolno utrzymywać w czasie kuracji stosunków płciowych. Jeśli nie uprzedzę, to żona może zarazić kogoś innego, ten ktoś z kolei kogoś itd. — powstanie nowe ognisko choroby. Mój pacjent twierdzi, że się na dwa tygodnie wykreśli od tak zwanych obowiązków małżeńskich; są siedemnaście lat po ślubie, nieraz mieli takie przerwy, to żaden problem. Skąd ja jednak mogę wiedzieć, czy jego żona nie ma kochanka, o którym on nie wie, lub czy nie zdradził go w tych dniach? Ale czy wolno mi powiedzieć jej

w likwidowaniu tej groźnej choroby budzi radośne uśmieszki. Szczęśliwie się zlikwidowaniem w Europie ospy, tyfusu, dżumy, cholery i nawet choroby Heinego-Mediny. Rzadko i za mało jednak mówimy o chorobach wenerycznych. Liczba chorych powiększa się, choć medycyna współczesna jest w stanie wyleczyć, lub przynajmniej całkowicie zaleczyć choroby weneryczne, a zatem zlikwidować je. Dlaczegoż zatem tego nie robimy?

„Forum” przynosił niemal co tydzień przedruki artykułów o swobodzie obyczajowej w Skandynawii, pisma dla kobiet i dziewcząt dostarczają stale nowych wiadomości o technice życia seksualnego, w „Kulturze” zaś KTT błada, że studentki krakowskie zażądały ograniczenia wizyt mężczyzn w żeńskim domu akademickim, a zatem albo są zaklamane, albo też nie zdają sobie sprawy jaką satysfakcję przynoszą ludziom udane kontakty seksualne. Publicyści narzekają, iż szkolne programy nauki higieny poświęcają więcej uwagi chorobom wenerycznym, niż współżyciu płciowemu. Kiedy się patrzy

— W Deblinie najłatwiej poderwać babkę na dworem. Poszedłem tam wieczorem i widzę, że po poroniu spaceruje naturalna brunetka o czarnych oczach, około dwudziestoletnia, z aktorką. Nie, żadnych trudności w zawarciu znajomości nie miałem. Mówiła, że jej pociąg będzie za godzinę. Dostałam więc na wino, przyniosłem, posłaliśmy wypić do wagonu na bocznicę. Wypita prawie trzecią część, ja niewiele. Gdy potem chciałem pić, zatrzymała mnie jeszcze mówiąc, że za dwie godziny ma następny pociąg. Objawy choroby...

— Mieszkam z żoną w Szczecinie. Byłem na delegacji w tutejszym województwie. Na niedzielę wyskoczyliśmy do R. W kawiarni dosiedliśmy się do czterech młodych kobiet, zdrowo popiliśmy i hurtowo zalekliśmy się nocą do jakiegoś mieszkania. Tylko ja jeden zachorowałem. Żeby się tylko żona nie dowiedziała. Nie, nie wiem gdzie ta melina, na trzeźwo bym tam nie trafił.

— Mam do pana zaufanie. Dziewięć przestałem być w piętnastym roku życia. Korzystałem z tego wielu... Nie, nigdy się nie kochałem i nigdy zakochana nie byłem. Jak to zakochanie czy ta miłość wygląda? Mężczyzna należy brać takimi, jakimi

nie był młody? Nie wie pan jak jest?

Tam na filmie luksusowe samochody, wygodne mieszkania, piękne kobiety, a każda puszcza się z każdym mężczyzną, byle był elegancki i na stanowisku. Druga połowa XX wieku, przez ze starą zakłamaną moralnością! Mamy prawo do korzystania z wszelkiej radości życia. Absencja czy też nadmierna wrażliwość piciowa prowadzą do nerwicy i psychozy. Lekarz nie mógłby więc do tego namawiać. Ale czy uświadomiałby seksualnie nasze społeczeństwo nie powinniśmy w równym, a nawet w większym stopniu prowadzić akcji uświadamiającej o chorobach wenerycznych? Dotychczasowe nasze wysiłki są w stosunku do potrzeb i sytuacji absolutnie niewystarczające. Swawolni kochankowie z naszych filmów przeżywają nieraz różne dramaty natury psychicznej. Nie widziałem jednak, aby któryś przeżywał dramata, gdyż zaraził się, kilką. Takie dramaty widuję natomiast w swoim gabinecie; w ciągu dwóch miesięcy roku 1968 stwierdziłem w swojej przychodni 18 wypadków (świeżej kili, choroby ogólnoustrojowej), wybitnie zakazne).

Gdyby wszyscy redaktorzy „Kamery” myśleli przez tydzień, nie wymyśliliby zapewne tych historii, z jakimi zetknął się w swojej praktyce każdy dermatolog o średnim doświadczeniu zawodowym. Przychodzą do nas ludzie całkowicie zdemoralizowani. I przychodzą skromni, spokojni, zrównoważeni, którym pierwsza w życiu, czy też pierwsza od dawna przygoda przyniosła taki finał.

Oto w ciągu jednego tylko dnia przysięgam: zawodowa prostytutka, która już dwukrotnie chorowała na kilę, a kilkanaście razy na rzeżączkę, urzędniczkę w czwartym miesiącu ciąży, przysłana przez ginekologa, która w czasie wyjazdu służbowego męża urządziła sobie weselny wieczór z panem poznanym w kinie („siedział po sąsiedku i gdy się przejął akcją, złapał go za rękę”), studenta (zaraził się od narzeczonej, z którą żyje od pół roku), monter (przeprowadzał reperację urządzeń w pewnym mieszkaniu, pana domu i dzieci nie było), uczennicę klasy X (była na „prywatce”, spili ją tak, że nie pamięta), starszego pana (był wzruszony, że taka młoda i piękna dziewczyna pozwoliła mu na zbliżenie, nie za pieniądze, nie za kolację, ot tak, po prostu z sympatii — gdy poczuł dolegliwości, postanowił się uspokoić i przyszedł do mnie, lecz nie chce wyleczyć, że ma rzeżączkę), damę lat ok. 45 (jest samotna, ma na stancji studenta, oglądali wieczorem telewizję i jakoś tak stało się) itd. itd.

U kobiet nie tylko rzeżączka, ale nawet kilę nie zawsze daje się łatwo zauważyć, choroba ujawniona zostaje dopiero, gdy kobieta taka z kolei zarazi jakiegoś mężczyznę. Bardzo trudne do zauważenia przez kobietę są objawy rzeżączki pochwowego. Leczenie kobiet jest również znacznie kłopotliwsze i dłuższe niż mężczyzn. Nie

(Dokończenie na str. 11)

GORZKA CENA LECZONYCH

Lucjan Piątek

prawdę? Może rzeczywiście byłoby to końcem ich małżeństwa? Czy nie wezmę za to na siebie przynajmniej części odpowiedzialności? Czy mam na to sprawę spojrzeć wyłącznie okiem specjalisty dermatologa, czy też szerzej, jako lekarz, któremu musi zależeć na zdrowiu fizycznym i psychicznym całego społeczeństwa?

A jeśli zgodzę się na koncepcję męża, to czy dorosła kobieta uwierzy, że musi przez to zachować okresową wstrzeźliwość płciową? Więc cóż, powiem, że jest to choroba niegroźna, lecz zakaźna? Może nabrać wątpliwości i pójść do innego lekarza, nie mówiąc mu nie ani o mężu, ani o wizycie u mnie. Dowię się prawdy i skandal będzie jeszcze większy!

Pacjent stoi przede mną i omal nie płacze. Jestem lekarzem, ośmieliłem się nie mówić o chorobie, o ilez łatwiej jednak spisywać mi te notatki teraz wieczorem, siedząc wygodnie w ciapach przy domowym biurku, niż podejmować decyzję tam, w przychodni, gdzie właściwie nie mam czasu na rozmowy i rozważania, bo długa kolejka pacjentów czeka na wizytę. A czy tylko jeden postawił mnie w sytuacji nieprzewidzianej w żadnym podręczniku medycznym?

Cała prasa zachłystuje się rewelacyjnymi operacjami przeszczepiania serca. Cała prasa rozdmuchuje każdą nowinkę w dziedzinie walki z nowotworami. Nie umiemy leczyć raka, więc ćwierć kroku naprzód

na to z gabinetu lekarskiego, sprawa przestawia się odwrotnie.

...do szpitala jestem szósty raz w ciągu pół roku, przy czym każde z zakażeń pochodziło od innej partnerki. Czyżbym był wybitnym pechowcem? Chyba tak! Każda nowa „znajomość” kończy się chorobą. Do starych „znajomości” nigdy już nie wracałem. Panie doktorze, skąd się bierze tyle tych chorób?...

— Z tego, że mało kto ujawnia lub zna dane personalne drugiej strony.

— No tak, to prawda, z tych szedłem to tylko o jednej coś wiedziałem.

...Dozłem do niej na ulicy przed wieczorem — taka ładna blondyneczka, chyba uczennica. Potem poszliśmy w górki za Monopolem Tytoniowym. Po wszystkim ona poszła do przystanku autobusowego, a ja wróciłem do siebie. Mówiła, że ma na imię Halinka. Nie umawialiśmy się na przyszłość. Początek choroby...

Mówię do mężatki po stwierdzeniu u niej choroby:

— Jak pani sądzi, gdzie i kiedy mógł się zarazić mąż?

— Nie, to nie od niego. Przez osiemnaście lat małżeństwa na pewno mnie nie zdradził ani razu, mogę na to przysiąc. Ten „drugi” unika mnie teraz, ucieka przede mną, boi się mnie, ma na sumieniu moje małżeństwo. Mąż też ze mną nie rozmawia, nie wiem co będzie. Miałam dwu, nie mam żadnego.

nieuważny, bierze łapówki (22). Wydaje się, że z sądów tych wyłania się wzór osobowy nie odbiegający od modelu wypracowanego przez pedeutologów.

Oddajmy głos rodzicom

Tak samo jak pedeutologowie i uczniowie, wyobrażają sobie idealnego nauczyciela rodzice, o czym świadczą podejmowane tu i ówdzie badania nad postulatami ojców i matek, oddających pedagogom pod opiekę to, co stanowi skarb najdroższy: rodzone dzieci. Zrezygnowawszy więc z wypyttywania rodziców o to, jaki nauczyciel jest dla nich idealny, a jaki zaprzeczeniem wymarzonego wzorca, jeśliśmy po prostu drogą ankiet i wywiadów w różnych stronach kraju zbierali żale i pretensje rodziców do nauczycieli na wprost bezmiennie, by tą drogą skonstruować swego rodzaju kryzyś zwierciadło. Jeżeli przejrzenie się w tym zwierciadle pomoże nauczycielom jednocześnie wytworzyć obraz kontrastowy pedagoga, do którego nikt nie ma pretensji, można będzie wówczas zaryzykować twierdzenie, że ten sondaż, choć w części spełnił swą misję. Zastawiając żale, lamentsy i pretensje, abstrahujemy od tego, czy rodzice wypowiadają swoje własne zdanie, czy też operują się bezkrytyczną, nie zawsze rzetelną relacją swych pociech. Trudno też wnikać, o ile te utyskiwania są obiektywne, a o ile subiektywne i krzywdzące.

A oto wykaz pretensji w kolejności od najczęstszych do najrzadszych:

- 1) Nie zawsze słuszne kryteria ocen, zwłaszcza gdy chodzi o dwójkę, która urasta do rangi uniwersalnego środka dydaktyczno-wychowawczego.
- 2) Zwalanie wielu zatorów poważnych, jak bagatelnych spraw na barki rodziców i domu, mimo że sprawy te wymagały po-

mocy fachowców, jakimi są przecież pedagogowie, którzy jednak winią na każdym kroku dom i odrywają rodziców od zajęć przez ustawiczne ich wzywianie.- 3) Przeciążanie uczniów ogromem pracy domowej i niezorganizowanym zadawaniem — bez próby jakiegokolwiek koordynacji. Uczeń spędza w klasie 6-7 godzin, w domu nad lekcjami drugie tyle — często z pomocą rodziny, a poza tym zdarza się, że jednego dnia ma dwie lub trzy klasówki. Jakież system nerwowy to wytrzyma i jakie pokolenie wyrośnie z ofiar takiego przeciążenia?
- 4) Gdzie jest opiekun klasy jako koordynator?
- 5) Zadanie od uczniów takich zadań nierealnych, jak: nabywanie przyborów i lektur brakujących na rynku, przeczytanie sporej lektury zadawanej z dnia na dzień bez zapowiedzi na kilka tygodni naprzód.
- 6) Niesłowność, w związku z czym uczniowie tracą czas, czekając na zbiórki, zebrania i kółka nadaremnie, bo nauczyciel nie przyszedł, choć się umówił.
- 7) Absencja nauczyciela, na skutek której urywają się lekcje i powstają niepokojące zaległości.
- 8) Traktowanie wagarów jako objawów karności, lenistwa i niedbalstwa opieki domowej, podczas gdy wagarowanie — to nierzadko wynik konfliktu ze szkołą, uniku obronnego przed dwojkiem i przeciążeniem, a nawet dyskredytowaniem i nudą.
- 9) Zalamywanie uczniów przez wyolbrzymianie ich wad i niedociągnięć, a pomniejszanie lub przemilczanie zalet i osiągnięć, co przy sugestijnym wpływie nauczycielskiego słowa wytworza w uczniach kompleks niższości oraz stan frustracji, wyobcowania i braku wiary we własne siły.
- 10) Nieufny lek rodziców przed nauczycielem, stąd z jednej strony konieczność przypodrobienia się i udobruchania, z drugiej unikanie wszelkiej dyskusji, by w razie kontrowersji rodziców nie odbił się na dziecku.
- 11) Zbyt często nauczyciele — tak, jak Sa-

lomon Łastik — mówią o dzieciach trudnych i rodzicach trudnych, rzadziej o nauczycielach trudnych, o których Łastik też powinien napisać książkę.

Pretensje te nie godzą, oczywiście, w całe nauczycielstwo, są bowiem wynikiem mniej lub więcej uzasadnionych konfliktów sporadycznych. W niejednej wypowiedzi rodzice przeciwstawiają nauczycielowi, do którego mają żal, innych nauczycieli, którzy mogą służyć jako przykład właśnie pozytywnej postawy w konkretnej sytuacji.

Bądź co bądź, głos rodziców — to głos społeczeństwa, zaangażowanego zbyt emocjonalnie w sprawy nauczania i wychowania. Bardziej obiektywne i fachowe głosy — to opinie nadzoru pedagogicznego reprezentującego społeczeństwo jako całość na odcinku czuwania nad szkolnictwem i oświatą.

Opinia nadzoru pedagogicznego

Nadzór pedagogiczny, czyli wizytatorzy i inspektorzy, czuwa nad prawidłowością procesu dydaktyczno-wychowawczego, a zatem sens jego pracy — polegać winien na pomocy szkole w osiąganiu możliwie najlepszych wyników pracy — jak pisze Minister Oświaty i Szkolnictwa Wyższego. — Jeśli zaś pomoc — to nie „naloty” na szkołę, nie wywoływanie nastrojów paniki czy chęci popisywania się, ale wspólne rozpatrywanie trosk i kłopotów, rada, a jeśli trzeba — przyjacielska krytyka. (...) Im mniej wizytujący będzie czuł się prokuratorem, a im więcej kolegą, który ma większe pole obserwacji, a więc i większe możliwości przyjacielskiej krytyki i porady — tym chętniej będzie widziany w szkole. A o to przecież chodzi przede wszystkim. Dobry nadzór pedagogiczny to nie ten, którego się nauczyciel boi, ale ten,

którego odwiedzin pragnie i oczekuje (...). Potrzebna jest nie tylko właściwa postawa aparatu wizytacyjnego, dopuszczającego możliwość współpracy różnych ogniw systemu pomocy nauczycielowi, ale stwarzanie mu należytych warunków pracy i stałe, konsekwentne podnoszenie jego kwalifikacji, stałe doskonalenie metod pracy wizytacyjnej”. („Trybuna Ludu” nr 45/68).

Doceniając rolę wizytatorów, posłuchajmy ich głosu. Z relacji W. Bachowskiego („Nowa Szkoła” nr 12/62) wynika, że 47 wizytatorów, nie negując bynajmniej zalet licznej rzeszy nauczycielskiej, wylicza takie oto deprymujące ich najczęściej wady i niedociągnięcia:

Słabe przygotowanie do zajęć (24), niewykorzystywanie pomocy naukowych (20), niepoprawianie zeszytów domowych (17), nieznanostwo programu (17), brak oddziaływań wychowawczych (12), niesystematyczność w utrwalaniu wiedzy i sprawności u uczniów (10) itd.

Widać tu większe uczenie nadzoru na błędy dydaktyczne niż wychowawcze, aczkolwiek będzie miał rację ten kto powie, że błędy dydaktyczne demoralizują i nauczycieli i uczniów, są bowiem zaprzeczeniem dobrej roboty, mają więc aspekt wychowawczy.

W toku omówień powizytacyjnych słyszy się nierzadko takie terminy deprymujące pewną część nauczycielstwa, jak: formalizm, rygoryzm, liberalizm, dydaktyzm (nauczanie ogolone z elementów wychowawczych). Piętnuje się „nauczyciela — groszrobaka”, który nie zadowolona się etatem, goniąc za zarobkami kosztem szkoły macierzystej, wychowanków i poziomu pracy dydaktyczno-wychowawczej. Chwali się nauczycieli zdrowych, bo nie opuszczają zajęć, żyjących wyłącznie szkołą i dla szkoły, zaangażowanych społecznie i nie obciążających statystyki szkolnej nadmierną liczbą dwojek, które rzucają cień na wskaźnik sprawności szkoły. Oczy-

wiście, nie chodzi o sztuczne podnoszenie krzywej osiągnięć, ale o przeanalizowanie własnej pracy i przekonanie się, czy rzeczywiście tylko uczeń i warunki obiektywne ponoszą winę. Przeważa zdanie, że lepszy jest nauczyciel solidny bez udziału niż uzdolniony, ale nie rzetelny. Niektórych niepokoi nadmiar kobiet — zwłaszcza w szkolnictwie ogólnokształcącym, bo zaangażowanie domem i urlopy macierzyńskie to ważki powód absencji nauczycielskiej (w roku szkolnym 1965/66 statystyczny nauczyciel opuścił 72 godziny pracy, a więc 20 dni szkolnych).

Niemniej jednak liczne nagrody, odznaczenia i wyróżnienia przyznawane nauczycielstwu rokrocznie — zwłaszcza na Dzień Nauczyciela — są dowodem, że nadzór pedagogiczny dostrzega tych, którzy zbliżają się do wzorca.

Sami o sobie

Jest ich trzysta tysięcy (pomijając kadre pedagogiczne uczelni wyższych), trudno więc tak zorganizować masowe badania, by wysondażować opinię wszystkich nauczycieli o najbardziej zasadniczych sprawach. Stosuje się najczęściej dwie odmiany sondaży: spotkania dyskusyjne i badania ankietowe.

W toku spotkań dyskusyjnych zapoznają się nauczyciele z wybuchowymi wyżej zastrzeżeniami uczniów, rodziców i wizytatorów, po czym odpowiadają cicho. Oto najczęstsze repliki:

Doceniamy w pełni zaufanie społeczeństwa, skoro zatrudnia się nas w szkolnictwie, powierzając nam najdroższe istoty, jakimi są dzieci.

(Dokończenie na str. 6)



„Pożar, pożar, coś nareszcie dzieje się...” Reż. Marek Piwowski

(Dokończenie ze strony 1)

koniecznością unowocześnienia form wypowiedzi i zmiany rejonu obserwacji a nieudatnością starego przedwojennego sprzętu, zrodziła się postawa, której świeżym owocem jest kilka filmów świadczących o chęci przełamania impasu.

Są to następujące filmy: „Żywot Mateusza” W. Leszczyńskiego, „Po wyroku” K. Gradowskiego, „Muchotłuk” oraz „Pożar, pożar, coś nareszcie dzieje się...” M. Piwowskiego i „Smierć prowincjała” K. Zanussi. Niektóre z nich zdobyły nagrody na międzynarodowych festiwalach, i tak nagrodę za debiut na festiwalu w Tours w 1968 roku zdobył M. Piwowski za „Pożar, pożar, coś nareszcie dzieje się...”, K. Zanussi za „Smierć prowincjała” uzyskał dwie nagrody na Międzynarodowym Tygodniu Filmów w Mannheim, zaś niedawno ukończony „Żywot Mateusza” W. Leszczyńskiego — pełnometrażowy film fabularny — wydaje się być obecnie jedynym kandydatem do udziału w festiwalach, jakiego jest w stanie przedstawić kinematografia polska. Ta erupcja talentu i sukcesów nie jest równoznaczna z narodzeniem się nowego programu w polskim filmie, brak jej zwartości, powszechności i określonych, nowatorskich w polskiej rzeczywistości artystycznej założeń. Wszyscy młodzi reżyserzy działają w ramach niejako własnej i tylko własnej osobowości twórczej, czerpiąc z niej jedyną siłę. Nie można jednak przejść obok tych filmów nie widząc ich odmienności, zawartej w nich odwadze spojrzenia, chęci podjęcia zarówno problemów typowych dla naszej rzeczywistości, jak i odwiecznych zagadek ludzkiej egzystencji.

Witold Leszczyński posiada już bogaty życiorys artystyczny. Po ukończeniu studiów politechnicznych zaczął studiować na Wydziale Operatorskim Szkoły Filmowej w Łodzi. Po paru latach przeniósł się na Wydział Reżyserii filmowej. W tym okresie powstały krótkie etudy, takie jak „Zabawa” czy „Portret mężczyzny z medallionem”. Jeszcze jako student został zaangażowany przez duńskiego producenta,

zanim jednak zdążył zrealizować film — pracodawca spłajtował. Pobyt w Skandynawii, podróż do Islandii, obcowanie z fascynującą przyrodą północy wywarło decydujący wpływ na twórczość Leszczyńskiego. W „Żywocie Mateusza”

ożywają wspomnienia tamtych doświadczeń. Po powrocie do Polski przez pewien czas pracuje jako inżynier w wydziale dźwięku Szkoły Filmowej. W tym okresie pod wpływem lektury powieści T. Veasaasa „Ptaki” powstaje pomysł filmu. Dochodzi do skutku nie praktykowana nigdy dotąd współpraca Szkoły Filmowej z Zespołem Realizatorów Filmowych „Start”, kierowanym przez prof. W. Jakubowską, której wynikiem jest właśnie „Żywot Mateusza”. Film, będący jednocześnie dyplomem i debiutem autora, film niezwykle piękny w proporcjach formalnych, zrealizowany z zegarmistrzowską wprost precyzją, posiadający świetne zdjęcia Andrzeja Kostenki, też debiutanta, i wspaniałego aktora, wymarzonego wprost do roli Matisa — Franciszka Pieczkę.

Krytyka szeroko omawiała już ten film. Nie chcę powtarzać cudzych słów. Tak czy inaczej rzadko jesteśmy świadkami powstania dzieła tak czystego w zamyśle, tak klarownego, pokazującego szlachetną determinację artysty. Witold Leszczyński pracuje nad kolejną adaptacją literatury skandynawskiej. Myślę że powinniśmy czekać na ten film z wielką nadzieją.

Marek Piwowski prezentuje się jako osobowość twórcza zupełnie inna. Jego dotychczas zrealizowane etudy i filmy świadczą o wyraźnym skłanianiu się w stronę groteski, o dążeniu do rozwijania

komedii w tonie wypowiedzi. Zdają się świadczyć o przejęciu się stylem i zawartością problemową nowego kina czeskiego. Począwszy od roku 1964, kiedy to jako student drugiego roku reżyserii zrealizował krótką etiudę dokumentalną „Uwertura”. Piwowski konsekwentnie pracuje nad możliwościami połączenia materii dokumentalnej z formą charakterystyczną dla filmu fabularnego. Oscyluje przy tym w stronę zjadliwego pamfletu, groteski mocno osadzonej w polskiej rzeczywistości. Dziennikarską ostrość spojrzenia łączy z przewrotnym a mimo to bezpretensjonalnym humorem. Wzorem kina czeskiego mniej interesują go problemy formalne, największy natomiast nacisk kładzie na osiągnięcie wrażenia autentyczności, zdradzającej przy tym cechy specyficznej kreacji, osobistej, niepowtarzalnej wizji. Z tych założeń powstał „Muchotłuk” w roku 1966 i „Pożar, pożar, coś nareszcie dzieje się...”.

Pierwszy z nich to próba oddania atmosfery podrzędnej knajpy, gdzie jak w tyglu miesza się problemy ważne i nieważne, gdzie żyje własnym, skarlałym życiem światek wykołobionych. Hymn polski, rozbrzmiewający na końcu z głośnika, zbiegający się z zamykaniem knajpy i wypraszaniem niesfornych gości, stanowi ironiczny komentarz autora, który bezkom-

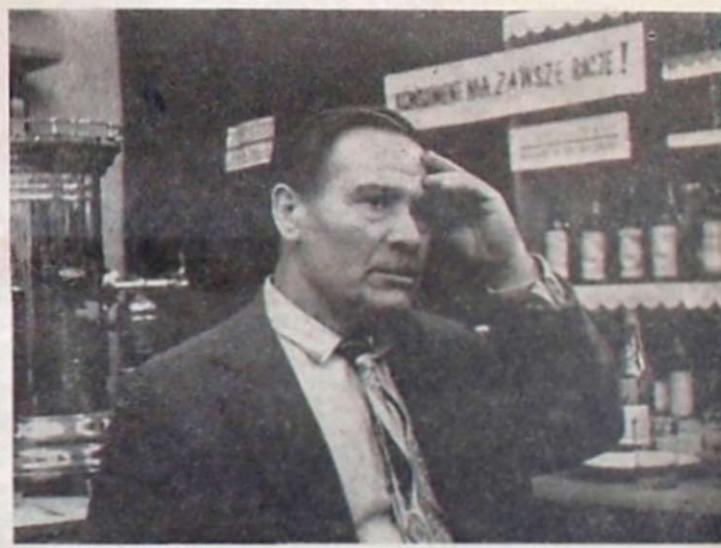
ty. O ile film ten z punktu widzenia świeżości warsztatu i zastosowania chwytów inscenizacyjnych jest w stosunku do „Muchotłuka”, wtórny, to jeżeli chodzi o intelektualną zawartość i chęć osiągnięcia syntezy problemu, jest utworem znacznie dojrzałym.

Film dyplomowy Krzysztofa Zanussi pt. „Smierć prowincjała” nie posiada wielu typowych cech debiutu. Skłonny byłbym nawet powiedzieć, że nosi on wszelkie znamiona utworu dojrzałego w sposób, w jaki dojrzały jest któryś tam z kolei film leciwego reżysera. I chyba dlatego wydaje mi się, że pojawienie się „Smierci prowincjała” nie upoważnia do stawiania określonych horoskopów co do przyszłości reżysera, nie stanowi znaku rozpoznawczego osobowości. Oglądając ten film nieodparcie przychodzi na myśl określenie „akademickość”.

Zarówno wyeksploatowany już temat — konflikt ojca i syna, bierność i czynu — jak i środki użyte przez Krzysztofa Zanussi świadczą o pewnej „gotowości” umysłu i widzenia u autora. Nie znaczy to bynajmniej, że jest to film niedobry. Posiada niewątpliwie walory, zwłaszcza w sferze formalnej — kompozycji obrazu, budowania nastroju, prowadzenia aktora. Jest jednak utworem przestylizowanym, co niekorzystnie odbija się na jego świeżości. Obecnie Krzysztof Za-

nucci pracuje nad filmem telewizyjnym w nowo powstałym zespole realizatorskim „Tor”, kierowanym przez Stanisława Różewicza. „Po wyroku” to tytuł filmu dyplomowego Krzysztofa Gradowskiego. Jest to film dokumentalny, co w praktyce „dyplomowej” jest debiutu jednocześnie, który uzyskał nagrodę za „specjalne osiągnięcia indywidualne” na festiwalu w Oberhausen i nagrodę im Helen Grayson za debiut na festiwalu filmów animowanych w Annecy. Film animowany istnieje niejako w drugim, równoległym nurcie kinematografii

„Pożar, pożar, coś nareszcie dzieje się...”



„Muchotłuk”. Reż. Marek Piwowski

O NAUCZYCIELACH każdy inaczej

(Dokończenie ze str. 5)

Wiemy, że w społecznej randze zawodów jesteśmy w pierwszej dziedzinie. Dzieciwie się, że do naszego zawodu trafiają nie zawsze jednostki prężne, dynamiczne i ambitne. Zarzucacie nam, że nie mamy czasu na korzystanie z takich środków masowego przekazu, jak film, teatr, książka, prasa, radio, telewizja. Czyż nie dostrzegacie, że uginamy się pod brzemieniem obowiązków zawodowych, społecznych i rodzinnych, że musimy znaleźć czas na samokształcenie i przygotowywanie się do zajęć.

Winę za absencję ponosi nie tylko urlop macierzyński i choroba. Bardzo dużo czasu pochłaniają nam różne konferencje, narady, odprawy, posiedzenia, spotkania, praca społeczna — w godzinach przeznaczonych na zajęcia w szkole. Powiadacie, że pragniemy zwalić na dom cały ciężar wychowania i że w ogóle nietęgie są nasze wyniki w nauczaniu i wychowaniu. Czy nie zdajecie sobie sprawy, że na każdego nauczyciela przypada kilkudziesięciu uczniów? Ta masa

uczniowska podlega ustawicznemu i niekontrolowanemu wpływom kolegów, rodziny, sąsiadów, ulicy. Młodzież znajduje się pod przemożnym i sugestyjnym naciskiem mody i stylu życia, propagowanego przez film i periodyki ilustrowane. Ogląda bez żadnej selekcji morderstwa filmowe i telewizyjne, nabawiając się swoistej znieczulicy. Obserwuje niezbyt budujące obrazki na ulicy, w autobusach, miejscach publicznych, gdzie właśnie dorodził wioda często prym w „rozróżkach”. Ustawicznie czyta w prasie o jakichś aferach i chuliganach, nabierając mierniania, jakoby korupcja i chuligaństwo były zjawiskami raczej normalnymi.

Macie do nas żal, że nie służymy naszym dzieciom za wzór wybitności, kultury i taktu. A jak jest z kulturą pedagogiczną rodziców, rozdarciem rodzinnym, zaniedbywaniem dzieci, brakiem kąta do nauki w domu? Wypuście się z ostatniego nieraz groza na modne i kosztowne stroje dla waszych dzieci, by się nie daly zdystansować tym zamożniejszym i nie padły ofiarą „dyskryminacji kasowej”, ale te poczynania mają charakter destrukcyjny, bo oto dochody stają się miernikiem pozycji dziecka w szkole wbrew zasadzie zgodności inte-

resów podstawowych w naszym kraju.

Słyszymy zastrzeżenia do naszego stanu nerwowego, który jakoby ujawnie wpływa na klimat szkolny. Nikt jednak nie pomyśli, jak na nauczyciela wpływa stan nerwowy młodzieży. System nerwowy nauczyciela jest zresztą w ustawicznym niebezpieczeństwie. W czasie lekcji pedagog nie może sobie pozwolić na relaks czy nawet na zwykłe zamyslenie się, w czasie przerwy zaś też nie ma spokoju: hałas i wrzawa przekraczają nieraz dopuszczalny limit decybeli, załatwić także trzeba wiele spraw organizacyjnych i wychowawczych.

Narzeka się na feminizację zawodu. Niechaj wrogowie kobiet w zawodzie nauczycielskim przestudiują sobie w kwartalniku „Studia Sociologiczne” (nr 2/66) artykuł doc. dr Aleksandra Kamińskiego pt. „Refleksje nad nieprzystosowaniem społecznym mężczyzn i chłopców”. Dowiedzą się wtedy, że „wśród ogółu skazanych przypada w przybliżeniu 8 mężczyzn na 2 kobiety, przy czym wśród skazanych z ciężkimi wyrokami (wzienia) liczba mężczyzn wzrasta do 9 na 1 kobietę; proporcje 9:1 mamy również wśród skazanych nieletnich chłopców i dziewcząt (...) Mężczyźni stanowią około 89 proc. osób nadużywających alkoholu (...)”. W roku

szkolnym 1959/60 odsetek niepromowanych uczniów klas VII szkół podstawowych wynosił 8,6 dla chłopców, a 5,2 dla dziewcząt. W Ameryce na 1 jakąś się kobietę przypada 5 jakających się mężczyzn. W 1965 r. we Francji na 10 kierowców, którym zdarzyły się wypadki, była 1 kobieta. Wobec takiego nieprzystosowania społecznego mężczyzny feminizacja jest przekleństwem czy błogosławieństwem zawodu nauczycielskiego?

Spośród wielu cennych badań ankietowych możemy tu wymienić tylko niektóre.

J. Kozłowski przebadal 435 nauczycieli (w tym 275 kobiet) i ustalił taką kolejność motywów wyboru zawodu: przypadek (22 proc.), słabość do dziecka, zamiłowanie, charakter pracy i inne. Czynniki, na które nauczycielstwo uzyskuje najczęściej, to kłopoty materialne, mieszkanie, kłopoty rodzinne, atmosfera szkolna, żal do zwierzchników.

M. Maciaszek dowiadywał się od 393 młodych nauczycieli, że 42 proc. spośród nich doznaje porażek — i to głównie z rodzicami wychowanków i zwierzchnikami. Oto najczęstsze porażki z rodzicami: publiczny afront doznany od rodziców wobec klasy, kłótnia na wywiadówce, pretensje rodziców o złe postępy uczniów, odmowa płacenia składek, konflikty w czasie wizyty domowej, podważanie autorytetu nauczyciela.

L. Sutkowski przebadal w województwie szczecińskim 100 nauczycieli, którzy żalali się na następujące przyczyny trudności dydaktycznych: złe zaopatrzenie pracowni i bibliotek (25), trudny brak pomocy naukowych (30), troska o rodzinę i konieczność dorabiania (25), brak współdziałania szkoły, domu i środowiska (25), konflikty między szkołą i domem (23), brak zaintere-

sowania ze strony komitetów rodzicielskich i bierność uczniów na lekcjach (21). A oto źródła trudności wychowawczych: brak osobistej zaangażowania emocjonalnego (15), atmosfera wychowawcza w szkole (14), niesystematyczna realizacja planu wychowawczego rady pedagogicznej (10), feminizacja grona nauczycielskiego, stąd urlopy macierzyńskie i okolicznościowe w związku z chorobą w rodzinie (10), przeciążenie pracą (9).

T. Malinowski („Wychowanie” Nr 6-7) na podstawie odpowiedzi 440 nauczycieli na 20 pytań sondujących poglądy na nauczycielski wzór osobowy zrekonstruował taki oto portret wzorowego nauczyciela, stworzonego przez samych nauczycieli:

„Wiek średni, pleć w zasadzie obojętna, raczej rodzic, o żywym temperamencie, nieprzeciętnej umysłowości i systematycznie dokształcający się, człowiek ideowy z wyraźnie określonym światopoglądem, zrównoważony, spokojny i opanowany, o wysokich walorach moralnych, silnej woli, stałym charakterze i łagodnym usposobieniu, stanowczy i konsekwentny, wyrozumiały, wrażliwy na krzywdę, kochający dzieci, sumienny, obowiązkowy, pracowity, rozmowny w pracy pedagogicznej, posiadający powołanie do tej pracy, o szerokich zainteresowaniach, gruntownym wykształceniu ogólnym i pedagogicznym oraz bogatym doświadczeniu życiowym i zawodowym”.

Krag się zamknął. Zaczęliśmy od wzoru osobowego i kończymy także wzorem osobowym, tym razem jednak wymarzoną przez samych nauczycieli. Oby stał się osiągalny na co dzień!

Bohdan Komorowski



„Muchotłuk” (Fot.: Andrzej Kowalewski)

I dlatego sukces Schabenbecka pozostaje bez bezpośredniego związku ze sprawami określającymi profil fabularnego filmu polskiego. Trzeba jednak odnotować jego pojawienie się, jest bowiem utworem o dużych walorach plastycznych. Jest to impresja o wymowie jednoznacznie zresztą zawartej w tytule. Styl plastyczny filmu pozostaje wyraźny pod wpływem grafiki Steinberga, co nie oznacza, że Schabenbeck jest zrzecznym kompilatorem. Wizja plastyczna zostaje wzbogacona o elementy czysto filmowe.

Jak na tle tych wydarzeń przedstawia się ogólny poziom studiów filmowych realizowanych w Szkole Filmowej? Czy można zaobserwować jakiś wspólny punkt wyjścia? Jest to pytanie, zwłaszcza dla mnie, szalenie trudne, gdyż jako student Szkoły Filmowej i kolega wyżej wymienionych młodych reżyserów reaguję na wiele spraw działających się w naszej uczelni zbyt emocjonalnie, co pozbawia mnie koniecznego dystansu. Odważyć się jednak odpowiedzieć twierdząco. Istotnie, bez względu na różnorodność traktowania spraw filmu, daje się odczuć wyraźną tendencję do unowocześniania warsztatu twórczego, do podążania za rozwojem filmowych form wypowiedzi. Mimo że rezultaty nie są zawsze jednako dobre, obserwuje się wzrost poziomu realizowanych studiów szkolnych. I tak np. w roku ubiegłym średnia

ocen uzyskanych przez studentów trzeciego roku reżyserii za film absolutoryjny kształtowała się wokół stopnia „dobrego”. A były to już prace stanowiące poważne kryterium oceny — filmy o parametrach technicznych filmu krótkometrażowego. Jedno wydaje się pewne. W Szkole Filmowej można dostrzec oznaki szczerego dążenia do znalezienia lepszych dróg dla polskiej kinematografii. I co ważniejsze widać pierwsze sukcesy.

Na zakończenie artykułu chciałbym podać informację statystyczną, która być może zainteresuje czytelnika lubelskiego. Otóż Lublin ma wśród studentów Szkoły Filmowej wielu swoich przedstawicieli, ustępuje pod tym względem chyba tylko Łodzi, Warszawie i Krakowowi. Na wydziale operatorskim studiuje dwóch lubliniaków, na czwartym dyplomowym roku reżyserii filmowej na ogólną liczbę dwunastu studentów (w tym trzech cudzoziemców) — również dwóch: Piotr Wojciechowski, pisarz nagrodzony niedawno za najlepszy debiut powieściowy roku i autor tego artykułu.

Muszę przyznać, że stanowiąmy zwartą „kolonię” i nawet po kilku już latach nieobecności często zdarzają się chwile nostalgii i bardzo, bardzo przyjemnych wspomnień.

Grzegorz Nowiński

Przed maturą

Drapak zamiast róży

Tadeusz Klak

LITERATURA polska będzie taka, jaką ją zrobi pokolenie „Współczesności” — pisał kilka lat temu Jan Błoński. Świetny krytyk nie stawiał proroctwa, pamiętał po prostu o prawie biologicznym. Wiadomo bowiem, że dzisiejszy debiutant może być jutrzejszym klasykiem. W oamiesieniu do literatury ktoś to prawo wyraził dużo jaskrawiej i złośliwiej: na jubileusz nie trzeba zasłużyć, wystarczy poczekać.

Nie jest rzeczą tego artykułu opisywanie, jak narastały główne fale poezji ostatnich lat, myślę przede wszystkim o poetach tzw. pokolenia „Współczesności”, o tych, których debiut stanowiły okolice 1956 roku. W poprzednim szkicu nazwińska i niektóre tytuły zostały podane w telegraficznym skrócie. Tu zaley nam na spojrzeniu z innej strony, niejako w poprzek strumienia czasowego. Obchodź nas wewnętrzną zawartość zgłoszonych wówczas propozycji artystycznych. Mimo czynionych prób nie udało się sprowadzić ich do wspólnego mianownika. Bogactwo stworzonych równocześnie światów poetyckich stanowiło o atrakcyjności nowej poezji, która zapowiadała wejście w zupełnie nową fazę rozwoju.

Przyjrzyjmy się niektórym z nich. Najbardziej odrębny należy do Mirona Białoszewskiego. Kiedyś synonimem niezrozumiałości była poezja Tadeusza Pełpepa, teraz przejął po nim tę rolę właśnie Białoszewski. Tom pierwszy — „Obroty rzeczy” — przyjęty został z entuzjazmem. Wprowadzał poetę Artur Sandauer, gorąco wital jego lirykę Julian Przyboś. „Obroty rzeczy” miały znaczenie rewelacyjne, przynosiły nowy język, wykazywały odmienne podejście do poetyckiego tworzywa. Najlepszą częścią tomu stanowiły „Ballady rzeszowskie” i „Ballady peryferyjne”, w tym spopularyzowana potem „Karuzela z madonnami”, śpiewana przez Ewę Demareczyk. Nieprzypadkowo pojawił się przymiotnik „peryferyjne”, Białoszewskiego od początku fascynowały rzeczy i sprawy pozornie uboczne, ale na których czas

wyraźnie odcisnął swoje piętno. „Rozprawa o stołkowych baranach” na warszawskiej Pradze mogła dzięki temu stać się okazją do przeprowadzenia poetyckiej archeologii.

Świat Białoszewskiego był zawsze światem przedmiotów. Oto „Studium klucza”:

Klucz ma zapach wody gwałtownej smak elektryczności a jako otwór to on cierpi niedojrzały bądzy cały sobie pestką

Utwór ten stanowi precyzyjną definicję przedmiotu, próbę ustalenia jego ontologii, jego tożsamości. Białoszewski dokonuje także definicji pewnych sytuacji czy stanów (poemat „Leżenie”). Mogłoby się wydawać, że panowanie przedmiotów oznacza dehumanizację tej poezji, wypędzenie z niej człowieka z jego sprawami. Świadczy to raczej o wprowadzeniu przedmiotów w krąg człowieka, o ustaleniu nici wzajemnych zależności. W pewnych sytuacjach sprzety — krzesło, stół — stanowią najbliższe otoczenie, zastępują najbliższych przyjaciół. Są świadkami lub uczestnikami rozmów i medytacji poety. A równocześnie całym jego bogactwem, wszystkim, co poeta posiada. J. Błoński zwracał uwagę na swolista „proletariackość” postawy Białoszewskiego z jednej strony, a z drugiej — pustelnika, anachorety, rozmyślającego o świecie w kamiennej celi mieskiego domu. Wtedy powstają hymny do podłogi, wiersze o krzesłach, zegarach. O przedmiotach — by powiedzieć za poetą — sprzedzonych sobą.

Te wiersze dały początek całemu nurtowi „poezji rzeczy” we współczesnej liryce, który próbowało uzasadnić nawet filozoficznym reizm (res = rzecz) Tadeusza Kotarbińskiego. Zresztą o nurcie tym nieco później. „W Obrotach rzeczy” zaznaczył się jeszcze inny strumień poetycki, o którym mówi zresztą Białoszewski w „Tłumaczeniu się z twórczości”:

chcę od mojego pisania nabrania zła otoczenia a ja ich lepiej za słowa po tocznie po tworzę

Oba ostatnie słowa są kluczowe, oba zawierają podwójny sens. Tożsamość słów oznacza, że poeta ograniczył teren operacji poetyckich do zdania i słowa, w ich obrębie dokonuje doświadczeń i eksperymentów. Te operacje językowe mają dwa kierunki. Z jednej strony poeta traktuje język jako układ warstw nałożonych w czasie i zachowuje się jak archeolog, schodząc do coraz głębszych i starszych pokładów. Drugi sens słowa to potoczność, która Białoszewskiego zawsze fascynowała. Jego wiersze, te z „Mylnych wrzusek”, „Rachunku zachciankowego” oraz „Było i było”, wyrażają z codziennych sytuacji, ze zderzeń słów i spięć językowych. A tom ostatni to po prostu dziennik poetycki.

Białoszewski wykazuje zadziwiającą inwencję i wynalazczość językową, umie znakomicie uchwycić pewne sytuacje. Oto „Pociągłoga”:

kin głón kin butów kin kolana pociąganie wizawio tokkótata

Jest tu uchwytyony istotny sens sytuacji, ruch, a także dźwiękowo-nasładowość. Tworzy nowe słowa w rodzaju „zdonicogawienie”, słowa od razu zrozumiałe, ujawniające swój sens. Białoszewski szkodował sobie własną składnię, własne słowotwórstwo. Przykład z „Mironczarni”:

węczy się ciałonach Miron męczy zdów jest ten słów niepostrzeżniepny corobnieś wes

Przykłady te pokazują pewne mechanizmy poetyckie, rządzące tą liryką. Są, rzecz jasna, wiersze, w których znaczenie nie jest tak oczywiste, dopiero trzeba je wyprowadzić. Być może, iż czytelnik nie-doświadczony albo niecierpliwy ominię je, zamiast rozzyfrować. A mogą być utwory po prostu niesudane czy puste wewnętrznie, bo i to się Białoszewskiemu zdarza. Może dlatego ostatnie zbiory tego poety przyjęte zostały przez krytykę z mieszanymi uczuciami, a dawni mecenasi Białoszewskiego — Sandauer i Przyboś — zgłosili wobec jego twórczości zasadnicze sprzeciw.

Niezależnie od oceny wierszy Białoszewskiego trzeba podkreślić ich zapładniającą rolę wobec nowej poezji. Jemu w dużej mierze można zawdzięczać zaistnienie trw. poezji lingwistycznej, to znaczy takiej, która główną uwagę skupia na języku. Słowa i ich takie czy inne połączenia nabierają znaczący to poezji wartości do pewnego stopnia autonomizacji — pisze o poezji językoznawczej Jan Prokop. Ten rodzaj poezji uprawia częściowo Stanisław Swen Czachorowski i Tadeusz Karpowicz, zwłaszcza w tomie „Trudny las”. O ile poezja rzeczy dehumanizuje lirykę tylko pozornie, to poezja lingwistyczna czyni tak rzeczywiście. Daleko posunięta autonomia świata poetyckiego i specjalizacja języka grozi tej twórczości całkowitym rozminięciem się z czytelnikiem, nawet tym ambitnym, który nie szuka w poezji tylko łatwych wrzusek. Cytowany przed chwilą krytyk, ęczyliwy wobec lingwistycznego nurtu poezji, mówi jednak o nim: Uciekając od „prostych wrzusek” odkrywają się mało znane sfery językowej „matematyki”.

Pokolenie, które objawiło swe istnienie w 1956 roku, swoją poezją wyrażało bunt przeciw ówczesnej oficjalnej poezji i pewnym przejawom rzeczywistości. Sprzeciw ten wyraził się jeszcze ostrzej w innym nurcie, który Julian Przyboś nazwał potem turpizmem (od turpis — brzydki). Młoda poezja wprowadziła słowa i obrazy poprzednie nie spotykane. Nasyciła wiersze brutalnością, ale ten brutalizm ukrywał tęsknotę za lepszym światem. W „Sylogizmie prostackim” Andrzej Bursa atakował zasady, które wszystkim rzeczom wymierzają wartość w pieniądzech:

Za darmo nie dostaniesz nic ładnego zachód stołca jest za darmo a uciec nie jest piękny ale żeby rzygać w klozecie lokatu prima sorta trzeba zapłacić za wodkę

ergo klozet w tanebudzie jest piękny a zachód stołca nie Stanisław Czyż w tomie „Tia” opublikował głośny wiersz „Szczur”, którym zaprzeczał pojęciu tego, co

(Dokończenie na str. 11)

Listy Katarzyny Zamoyskiej

„Godziny liczę w melankolyjej...”

Adam Andrzej Witusik

MOTTO: Godziny liczę w melankolyjej, a każda godzina tygodniem mi się widzi bez WMci.

LISTRY z XVII wieku, zwłaszcza kobiet, to nader interesująca, a dotychczas tak mało znana literatura. Nic lepiej, plastyczniej jak ten typ źródła nie oddaje psychiki, mentalności, stylu życia ludzi tego okresu.

Z olbrzymiej ilości zachowanej do dziś korespondencji z XVII wieku bardzo mało jest listów intymnych, osobistych. Takie listy pisały przede wszystkim kobiety. Listy mężczyźni pełne są natomiast wojny, polityki, „trybunałów”, gospodarki. Sprawy rodzinne, osobiste w listach pisanych przez mężczyzn — i to nie tylko w listach, lecz i w innych materiałach — znajdują się na szarym końcu. Do wyjątków należą listy takich ludzi jak: hetmana litewskiego Jana Karola Chodkiewicza do żony Zofii czy Jana Sobieskiego do Marysieńki.

Stosunkowo bardzo mało zachowało się listów kobiet. Niewiasty bowiem w owym czasie były niewykształcone, większość z nich nie umiała pisać, nie znaly też języków

obcych. Dla przykładu: żadna z dam dworu królewskiego w Polsce nie umiała rozmówić się z królową Ludwiką Marią. Dopiero przybycie tej królowej na dwór warszawski spowodowało gwałtowny zwrot w stylu życia i obyczajach polskich kobiet. Pod jej wpływem zaczęła szerzyć się francuszczyzna. Ludwika Maria zaczęła też „wojować” na wielką skalę swym fraucymserem w życiu politycznym. Oponent dworu królewskiego, wojewoda poznański Krzysztof Opaliński w swej satyrze „Na zepsowane białogłowskie stanu obyczaje” tak pisał m. in.: na ten temat:

Jako się cudzoziemskie stroje z obyczajami Wprowadziły do Polski, a wpród na dwór pański. Nie widziana za Lacha pierś na pół odkryta U żadnej białejgłowy; teraz już wygląda Ze i wszystko odkryją, i wstyd zetrą z czoła.

Dopiero też za Ludwiki Marii wybuchł w Polsce pierwszy olbrzymi skandal towarzyski: sprawa Radziejowskiej i Jana Kazimierza.

W tym czasie korespondencje pro wadziły przede wszystkim kobiety

królewskich i senatorskich rodzin, ponieważ tylko one umiały pisać. Ich też listy: Anny Wazówny, Barbary Zamoyskiej, Reginy Zółkiewskiej, Anny Ostrogskiej, Gryzeldy Wiśniowieckiej — wymieniam przypadkowo, bo rejestr może być bardzo długi — zachowały się do dzisiaj. Kobiety pisały listy głównie do osób bliskich: męża, syna, córki, brata, matki. Stąd listy te są nieformalne, intymne, „otworzyste”. Takimi listami są też listy Katarzyny z Ostrogskich Zamoyskiej do męża, kanclerza wielkiego koronnego Tomasza.

„Mój najukochańszy na świecie, serdecznie bardzo dobrodzieju — pisała Katarzyna Zamoyska w liście z Zamościa 2.X.1621 r. — Proszę o przedką wiadomość o zdrowiu WMci MMPana i dobrodzieja, i o to, żebym mogła wiedzied, jeżeli WMc do obozu pojedziesz mój kochanecku serdecznie... Godziny liczę w melankolyjej, a każda godzina tygodniem mi się widzi bez WMci”.

„Moje kochane serce, mój jedyny kochany dobrodzieju — stwierdziła w liście z Krasnika z 6.III. 1623 roku — Proszę, żebyś mi się WMc MMPan i dobrodzieję kazal o dobrego krauca przy dworze sta-

rać, który by te prasowania dobrze umiał”. „Według obietnice mojej — pisała natomiast w liście z Zamościa z 19.III.1629 r. — stawię się jutro da Pan Bóg na obiad w Lublinie, gdziebym rada ptakiem przyleciała i prędko się ucieszyła z widzenia WMci”.

Zony w XVII wieku miały coś z antycznej Penelopy. Z tęsknotą oczekiwały powrotu męża, który brał udział to w sejmach, to w sejmikach, to w wyprawach wojennych, to wreszcie w różnego rodzaju narażach i komisjach. „Moje najukochańsze serce, mój dobrodzieju kochany — pisała Katarzyna w liście z Zamościa z 19.XI.1626 r. — Dzieci nasze zdrowe z łaski bożej. Gryzledka barzo tęskni i pilnie mi pomaga prosić o szczęśliwe wrócenie WMci”. „Proszę Pana Boga — stwierdziła w liście z 18.X.1624 r. — żeby te godziny były krótsze, żebym WMc prędko widziied mogła”.

W magnackim świątku — i nie tylko — mężowska miłość czerpała raczej czułości z posagowej sumy małżonki. Nieoceniony Krzysztof Opaliński tak m. in. pisał na ten temat:

A czemuż swoją żonę ten a ten pan chwali? Wniosła w dom sto tysięcy, dlatego bogobojną i wstydlitą zowie. Posag przyniesie cnotę i wiarę i wszystko. Były pieniądze miała niech się z gachy liże I przy małżonku samym, nie to nie zawodzi.

Katarzyna Zamoyska dość często żaliła się na oschłość uczuć mężowskich. „Co się udy dzieje dla miłosierdzia bożego — pisała w liście z Zamościa z 15.IX.1629 r., — że

WMc o mnie zapomniad i tak blisko będąc tak nieczęsto dajesz mi znać o sobie... Łatwiejby mi zniosła nie wiem jakie więzienie w ciemnicy nie widząc świata, niżeli to tyranstwo, które WMc nademną wyprawujesz nie dając mi znać o sobie”.

Oto niektóre tylko fragmenty tych nader interesujących listów. Pisała je Katarzyna Zamoyska w latach 1620—1633. Kreslone prostym, potocznym stylem mają charakter poufnych zwierzeń „Otworzystość”, intymność tej korespondencji pozwalała dotrzeć do tajemnic skądinąd zupełnie niedostępnych. Listy Katarzyny Zamoyskiej, wolne od konwencjonalnych frazesów, od przemiłzeń i niedomówień, pozwalają poznać psychikę, mentalność, kulturę kobiety tego okresu. W tych intymnych, a — co tu szczególnie ważne — pisanych własnoręcznie, bez posługiwania się osobą sekretarza listach, zawarta jest niemała częśćka prywatnego, codziennego życia wraz z bogactwem szczegółów cennych dla historii kultury materialnej, społeczno-obyczajowej, poświadczających także dla powieściopisarza. Obecnie listy te — jest ich 30 — znajdują się wśród rękopisów Archiwum Zamoyskich Archiwum Głównego Akt Dawnych w Warszawie pod sygnaturą 924.

Kończąc, trzeba stwierdzić: byłoby pożytkiem dla nauki, chłuba dla wydawnictwa a intelektualną rozkoszą dla czytelników, gdyby któreś z tak licznych przeleż wydawnictw, np. Czytelnik czy Państwowy Instytut Wydawniczy, wydało antologię siedemnastowiecznych listów kobiet.

— Kiedyż oni to dzieło napiszą? — zalała się na schodach dozorczyzna Świrko-wa. — Raz na miesiąc sprzątam, a i tak zarosze tych awantur panów autorów muszę wysłuchiwać przed drzwiami.

— Nie ma pani pojęcia — sarknęła sąsiadka z lewej — dziecko budzą mi po nocach. Zwalaszca ten Warmula przekle-ty. Bieży jak baba, kiedy tylko Spręży-niak zażąda od niego — jak mówi — „konkretu i życia”.

— A tamten zduszonym głosem syczy: „Tylko nie to, tylko nie to. Wszystko ci wymyślę, byle nie ściągać niczego z pie-destału” — dorzucił młeczkarz, który za-trzymał się przed bramą na małą go-dzinę. — Wiem, bo słyszę często przez niedomknięte drzwi.

— I to się nazywa „spółka autorska” — wycedził z ironią w połowie schodów emeryt z oficyny. — Ha! ha! — krzyk-nął dyszkantem, potknął się i zleciał z kilku schodów tuż przed drzwiami boha-terów rozmowy.

W otwartej ramie ukazał się natych-miast Sprężyniak. Potrząsnął ze zdzi-wieniem stwiejącą czupryną, po czym bez namysłu wyjął gwizdek z szamero-wanej kieszeni bluzy harcerskiej.

— Warmula! — zakomenderował — podnieść pana, zamknąć drzwi, wycofać mi buty i nie bredzić o filozofii jako praźródle pisarstwa. Na wieczór kończy-my traktat o szelkach, na jutro rano mały poradnik astronautyczny, pojutrze broszurę „Co każdy reumatyk wieździeć powinien”.

Nie wiem, jaki los spotkał staruszka, bo z kolei ja się zirykowałem i pobieg-łem na dół do siebie podekscytowany.

— Dość tych awantur! — postanawia-łem. — Niech dojdą do porozumienia albo niech się wynoszą gdzie pieprz rośnie, bodaj na koniec świata!

Nie zdążyłem wyeksplodować z siebie całego gniewu, kiedy wpadł do mnie bla-dy jak płótno Warmula.

— Sąsiedzie kochany, ratuj. Ja z tym szkałem literackim dłużej nie wytrzy-mam!

— Jeżeli szkał, to zastrzelisz — pora-dziłem rzeczowo. — Kary nie będzie.

— Sumienie mi nie pozwala. To też człowiek. Poza tym są pewne względy. — Pan rozumie, on porwała mi siedzieć w kątce za szafą i zgłębiać do białego rana rozprawę teoretyczną o bycie i nie-bytciu w pięciu językach.

— To bardzo ciekawe — wtrącił em. — Tak, tym sposobem każdego rana Sprężyniak staje się dla mnie bytem subiektywnym, który istnieje z kolei jako byt obiektywny tylko dla niego samego, biorąc rzecz subiektywnie...

— Jak przychodzi więc do prawdziwe-go zobiektywizowania Sprężyniaka? — za-pytałem.

— W momencie, kiedy udziela mi ko-lejnej pożyczki — wyjaśnił z lekkim za-żenowaniem Warmula. — Pan rozumie, z czegoś trzeba żyć. Ja wymyślę te-maty, a on je przetrawia, niweluje pod piórem jak buldożer. No, niekiedy trze-ba także pisać za niego... Ale jest bar-dzo płodny. Zasypuje świat publikacjami z turystyki i pirotechniki, młeczkarstwa, schizofonii, jajczarstwa, stereofonii, ma-larstwa...

— Ależ to wyzysk, wyzysk na prostej drodze — przerwałem oburzony. — Sprę-żyniak ssię pana jak harpia, jak elek-troluks!

— Ciii! — Warmula przyłożył palec do ust i podreptał ku drzwiom. — Prze-cież mógłby postyścić. — Mój rozmówca zwiesił smutno głowę. — To nie jest wy-zysk. Ja po prostu tych pożyczek często nie oddaję...

— Wspominał pan, kochany Warmulo, o swoich głębszych zamyśleniach, re-fleksjach i zadumach. Czy ma pan na to czas naprawdę przy takim trybie ży-cia i prześladowaniach ze strony tego szariatana?

— Tylko w nocy, sąsiedzie, tylko w nocy — wywnurzył poufnie i oczy zapa-liły mu się fosforycznie. — Wówczas mogę oddawać się także przeróżnym ta-kim sprawom, jakby to powiedzieć, ma-rzeniom...

— O miłości — podesunąłem domyślnie.

— Tak. Skąd pan wie? Za siebie i za Sprężyniaka.

— Niebyle! — zdumiałem się. — Czyżby pański wspólnik nie był cał-kiem... w tych sprawach?

— Cóż znowu! — zdementował War-mula. — Wyznacza po prostu, jak wszę-dzie, podział ról. W ściśle oznaczonej po-rze dnia (on jest bardzo punktualny — dodał konfidencjonalnie) przyjmuje u sie-bie pewną prostoduszną i bujną dziew-czynę zwaną powszechnie — ze względu na zawód — „Kwiatem pralni chemicznej”. Wspólnik ubóstwia w niej umiejętność przenoszenia pralniczych cech na niego samego. Szalę namiętności, który ich ogarnia w momentach ściśle wyznaczo-nych przez dźwięk trąbki harcerskiej, jest szaleem wielkiego prania jego dorob-ku publicystycznego.

— Nie bardzo pojmuję — zastrzegłem się.

— Widzi pan, dziewczyna jest rzecz-o-wa, praktyczna i na niczym się nie zna

— wyjaśnił Warmula. — Kiedy rzecz-o-wość jej osiągnie zenit, nie pozostawia na Sprężyniaku suchej nitki i to się na-zywa „wielkie pranie”. Po paru minu-tach Sprężyniak upada do mego kąta i wyrzeka na ratunek: „Warmula! ona zno-wu zrobiła ze mnie bohatera i debila li-terackiego. Pomóż mi natychmiast i za-top się w marzeniach o wielkiej, nor-malnej miłości! Dorób wyobraźnią ciąg dalszy”.

Chciałem postawić jeszcze jakieś pyta-nie, kiedy z klatki schodowej dał się słyszeć charakterystyczny dźwięk gwizd-ka i w ślad za tym ostrzy głos:

— Warmula, prędko do no... — urwa-ny w połowie.

Sprężyniak jakby podcięty batem po-biegł co tchu na górę. Kiedy wychylił-lem spoza drzwi głowę, na korytarzu stał pan z lekarską walizką w ręku.

— Doktor Morski jestem — uchylił kapelusza. — Czy nie zechciałby mi pan pomóc przy uruchomieniu aparatu do złączenia w całość panów Sprężyniaka i Warmuły? Zostałem w tym celu we-zwany.

— To cudowne — wyrwało mi się. — Więc Sprężyniak przestanie wreszcie maltretować subtelnego Warmułę, a dziewczyna Sprężyniaka?

— Oczywiście — odparł doktor. — Zli-kwidujemy rozdwojenie jaźni pana Warmuniaka, bo tak się w istocie nazywa. Skoro obaj wspólnicy zunifiku-ją się, nastąpi sprawiedliwy podział cech w postaci wypadkowej obu charakterów.

— A czy Warmuniak nie utraci waku-tek tego zdolności tworzenia na pięćset pięćdziesiąt tematów jednocześnie? — zaniepokoilem się.

— Być może odrobinę. W zamian po-giębi się jednak nieco. No cóż, dziewczyna wynagrodzi mu wszystko, skoro w miłości nie będzie się mógł odnieść już do rad pana Warmuły.

Pomyślałem zaraz o potężnym, wszech-ogarniającym „wielkim praniu”. Wzru-szony uściśnłem dłoń doktora i za-bratem się żwawo do pomocy przy aparacie.

Spółka autorska

Romuald Lenec

POEZJA CZESKA I SŁOWACKA

Jerzy Wolker

Ballada o nie urodzonym dziecku

Najpierw się wzajem uśmiechali, potem się w sobie zakochali w blasku latarni ponad rzeką, gdzie fale wody cieką, cieką, a ludzie stoją, jakby odbiciem światła w niej byli.

Wreszcie się całowali i pieścili.

Miłość nie wie, co to jest ubóstwo, kochankowie mają skarbów mnóstwo: ręce i oczy, piersi, usta.

„Za miasto, moja droga, prowadzi biała droga, a za nim, w kłosów złotych cieniu, pas między się zieleni. Tam skarby swe zliczymy, i tam się nimi podzielimy, aby nam nie spłonęły, aby nie odrunęły w daleki kraj jaki jak żar-ptaki”.

Za miasto poszli po wieczornej rosie i nikt z nich próżno o miłość nie prosił: młodzi wszak mają do miłości prawo i biedni mają do miłości prawo, człowiek narodził się przecież z miłości, za miasto poszli po wieczornej rosie. Z początku się bronili, z początku się bała, ale w końcu mu się oddała.

I czemuż bronić by mu miała ciała, ciała ze krwi i życia, kiedy mu serce swe już dała, swe serce z krwi i życia? Miłość to żona i mąż, miłość to chleb i nóż. Rozciąłem cię, moja miła, ręce mi krew splamila białego bochna.

Gdy do domu wróciła rozkoszą pijana, ledwo dojść mogła do swego tapczana. Noc płonie, pościel ziębi i znikąd pomocy, na sercu jej tej nocy dziecięce usta się poczęły. Tej nocy płacz ogarnął cztery nagie ściany, że trudno, trudno będzie zdobyć dla zgłodniałych usteczek chlebek pokrajany.

Księżyc nad miastem świecił, trzy razy rósł na pełnię i dwa razy gasł, gdy nad czarną ulicą zagasił po raz trzeci, dziecięce usta sercu szepnęły z ukrycia: „Mateńko miła, jam twoja miłość, która tak bardzo pragnie życia!”

Gdy do sprostregła, do kochanka pobiegła. Izdebka jego była smutna, wyziębiona jak ciężka głowa na słabych ramionach.

Kiedy oboje o tym już wiedzieli, na tapczanie usiedli. Stali się cisi i bladzi, krzepili się, by zbrodnią nieszczęściu zaradzić.

„Dziś nasze serca, kochana, i serc innych tyle tysięcy to tylko w szynku szklanki na stole — nie więcej. Dla gorzkich ust wystarczy rozkosz krótka. Krwi-śmy nalali, a to była wódka. Sto tysięcy się ludzi tak jak my kochało i żadne nie poczęło się dziecko z ich ognia, naszemu też nie wolno żyć i to nie zbrodnia, tylko nędza”.

Już słońce nie świeci i gwiazdy się nie żarzą, idzie do lekarza kochanków dwoje. Tam nie prowadzi droga biała ani miękka, tam się musi po schodach iść stopniem

i w poczekalni się czeka, długo, długo się czeka, aż wreszcie drzwi okropne otworzą się i zimnym obojętnym głosem powiedzą „Proszę!”

Lekarz miał ręce z karbolu, a słowa z lodu: „Nie umiem chorych kobiet leczyć, naprawiam tylko złamane rzeczy”. Zdjął z niej bluzeczkę, palcami po piersiach jej bębnił marsz pogrzebowy.

O kobieto, czy słyszysz głos ten, co na piersiach ci płonął? Teraz jeszcze na ostatek krzyknął, a teraz skołał.

A on tymczasem stał, w drzwiach na progu gabinetu stał. I oczy go zdradziły szklane kurczowo krocząc za jej bólem, za jej bólem, za tym karawanem, koła skrzypląły, wiatr jesienny wiał. Któż to uczynił? Ja.

„Daj, ukochany, rękę, kiedy po stopniach schodzić będę pełna bólu. Już nie mogę być dzielna, teraz muszę

plakać, że z całego bogactwa w kieszeni została mi ampulka eumenolu, że jestem tylko raną martwymi rączynami dziecka w objęciach trzymaną.

Nie jestem już kobietą, jestem grobem tylko. Dwoje oczu na mnie się żarzy niby świeczki dwie w Zaduszki na cmentarzu,

a nikt nade mną się nie modli. Kobieta chce, by świat był inny, lepszy wkoło, i płacze, kiedy tego uczynić nie zdola”.

Wieczorem tyle serc kochających szarpie się w obroży, że to, co żyć by mogło, żyć nie może, a niejednego i smutek nie trapi, bo smucić się już nie potrafi.

Słońce na ziemi świeci, a drzewa drżą bezlistne w chłodzie, ludzie na ziemi się kochają, a miłość się nie zrodzi.

Czyż się nie zrodzi?

Jan Čarek

Żołnierz wieczny

Jam jest żołnierz egipski
lucznik —
Jam żołnierz perski — zastęp nasz jest
mnogi,
deszczem strzał wypuszczonych zaciemniamy
słońce,
tysiące w bój nas poszło, padniemy co do
nogi.

Jam żołnierz grecki
kocham swą matkę, wielkie słone morze,
pod Maratonem biję się w pierwszym
szeregu,
walczę pod Troją, padam w Termopilach,
od Platęj mnie przynoszą na wypukłej tarczy
krwią zbroczonego.

Jam żołnierz rzymski, nie wódz, nie
centurion,
ostatni w rzędzie,
brzegi morza załamałem krwią,
swym ciałem zgnoiłem Galię.

Jam nie rycerz w pancerzu, ale jego
giermek,
mam w domu żonę i dziecię,
na czarnych koniach wyjechaliśmy o świcie
do Ziemi Świętej —
Jezu Chryste, nie opuszczaj mnie!
Jestem żołdak pijany i wojna jest moja,
kocham wino, kobiety i rwę się do boju,
w karczmie gram w kości i walczę zażarcie.

Jam żołnierz na barykadzie.
Jestem żołnierzem Austrii,
krwawię we Włoszech, krwawię pod
Sławkowem,
tysiąckroć padam,
tysiąckroć z gliny dźwigam się znowu —

Ja nie jestem żołnierzem jednej tylko ziemi,
jestem żołnierzem całego świata,
jestem stary jak ziemia, któż zliczy me lata,
tysiąc razy-m zabijał, tysiąc razy-m padł,
palilem wioski, gwałciłem dziewczęta,
zmęczyły mnie pochody i krew mi jest
wstrętna,
brzemień w glinę mnie wgniata, wina mnie
przytłacza —

Ja żołnierz wieczny,
na ziemi kłękam i płacę.

Karol Toman

Tłumy

Gdy przyjdzie wiosna,
a na drzewach lśni kwiat,
my nędza, holota
chcemy znów dzielić tak jak zawsze świat.
Jesteśmy morzem,
materią i snem,
a słońce świeci
i nam do okien łaski bożej tchem.

Na słońce wyjdziem,
gdy na drzewach lśni kwiat.
My nędza, holota
chcemy znów dzielić tak jak zawsze świat.

Nasz sen jest wieczny,
życie sekundą mknie.
A każda matka
z żywotem nowym poczyna nasz sen.

Fraňa Šrámek

Pieśń

Papierosów dwieście małych
na ten ból przepadło.
Czerwień źródła pospyływała,
potem to opadło.

Wściekły wiatr drogami przegnał
balladowe śmiecie,
piękły oczy i los zęgnął
śmiesznej mocy dzieci.

Może włosy się zwichrzyły
teatralną burzą.
Stara wojna... W dal co siły
z przestrzeloną bluzą.

Emil Bolesław Lukač Powiedz mi małe słówko

W oczach twych pośpiech błyszczą,
życie w nich płonie.
Powiedz mi małe słówko,
a ja je dopowiem.

Zamiast rąk masz płomienie,
z krwi jest rana ust.
Powiedz mi małe słówko,
a ja je dopowiem.

Na piersi krzyżyk złoty,
o, zbaw nas od złego.
Powiedz mi małe słówko,
a ja je dopowiem.

Przekłady K. A. Jaworskiego

Miroslav Valek Niepojęte rzeczy

Niepojęte rzeczy są między nami.
„Po co to i do czego to podobne?”
Kółeczko rozkręcone w palcach wykonuje
swoją ruch okrężny.

Ale zegar nie idzie.
Jabłoń rozkwitła pod koniec stycznia.
Ale zima nie ustaje.
Oczywiście wrażenie, że ktoś cię woła.
Ale ulica jest pusta.

A jeszcze inne rzeczy
sto razy słyszane:
„...że ją porzucił, bo ją kochał...”
...zatruli sobie życie,
bo nie mogli wytrzymać bez siebie...”

Skąd przychodzą te oto słowa
bez logicznego uzasadnienia,
bez wzajemnych związków,
niepojęte
i dziwaczne?

Niepojęte rzeczy
przyjmijcie mnie do siebie,
wstąpię we mnie wszystkim zmysłami,
dotykajmy się nawzajem,
tak jak skrzypiec smyczek dotyka.

Niepojęte rzeczy,
jesteście w nas.
Wypowiadam najciszej słowa
i czekam aż światem zabłyśniecie.

Przekład Jerzego Pleśniarowicza

DLACZEGO BUDUJEMY CENTRUM?

Kielecki omnibus

APEL rzuciła Ewa Szemburg-Zarembina: dla upamiętnienia i uczczenia pamięci dzieci polskich zbudujemy społeczny wysiłek — Centrum Zdrowia Dziecka. Szeroką falą płyną już z całego kraju dary, od setek tysięcy złotych poczynając na pojedynczych złotych kończąc. Do tej wielkiej społecznej akcji włączyły się przedsiębiorstwa, instytucje, spółdzielnie, urzędy, pojedynczy ludzie, nie zabrakło także dzieci, które dziś wstają w tak zupełnie innych warunkach niż wtedy, gdy hitlerowski okupant — przygotowując się do biologicznego wyniszczenia narodu polskiego — ze szczególną zaciętością mordował i deportował polskie dzieci.

O tych ponurych czasach rozmawiamy z adwokatem Józefem Wnucem, sekretarzem Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Lublinie, autorem książki „Dzieci polskie oskarżają”.
— Najbardziej znana jest hitlerowska akcja przeciwko polskim dzieciom w czasie wysiedlenia ludności z Zamojszczyzny. Mieszkałem wtedy w Warszawie i pamiętam, jak dziesiątki tysięcy osób jechali na Pragę, aby „uprowadzić” do własnych domów dzieci, przywożone transportami kolejowymi lub samochodowymi. Ale to chyba nie był początek?

— Akcja hitlerowska przeciwko dzieciom polskim była zaplanowana i zorganizowana. Już w listopadzie 1939 r. na tzw. terenach przyłączonych do Rzeszy — a więc w Wielkopolsce, na Pomorzu i na Śląsku — hitlerowcy, szczególnie SS i gestapo, prowadzili rabunek i germanizację dzieci polskich, co trwało aż do ostatnich dni wojny. Systematycznie odbierano dzieci rodzicom, krewnym i opiekunom, osadzonym w więzieniach czy obozach koncentracyjnych, albo gdy stwierdzono, że wychowują oni te dzieci w duchu polskim. Zabierano dzieci z sierocińców, a w małżeństwach mieszanych przekazywano je stronie niemieckiej. Oczywiście chodziło, zwłaszcza w pierwszym okresie, o te dzieci, które w oczach „ekspertów rasowych” przedstawiały typ nordycki — jasne włosy, niebieskie oczy, wysoki wzrost, odpowiednia budowa czaszki. Zrabowano w ten sposób i wywieziono do Rzeszy ok. 200 tysięcy dzieci. Nadano im imiona i nazwiska niemieckie, sfalszowano w ich dokumentach wszystkie inne dane z wyjątkiem wieku. Chodziło tu o dzieci do 12 lat. Wskutek tego właśnie akcja repatriacyjna po wojnie była bardzo utrudniona, bo Niemcy spalili wszystkie dokumenty pierwotne. W rezultacie mimo największych wysiłków udało się repatriować zaledwie 10—15 proc. tych dzieci.

— Czy w tzw. Generalnej Guberni akcja eksterminacyjna narodu polskiego miała objąć także dzieci?

— Oczywiście tak. Już od 1939 r., szczególnie zaś w latach 1942—44, okupant przeprowadzał wiele akcji pacyfikacyjno-egzekucyjnych, podczas których mordowano także dzieci. Tak np. w Łątku Ordynackim wśród 200 zamordowanych osób było ponad 90 dzieci w wieku do 14 lat, większość z nich hitlerowscy oprawcy wrzucili do palarni w domach. Podobnych mordów na Lubelszczyźnie popełniono bardzo dużo, na innych terenach także.

— Może kilka słów przypomnienia o tragedii Zamojszczyzny?

— Nazywało się to akcją wysiedlenia, prowadzoną w powiatach bilgorajskim, hrubieszowskim, tomaszowskim i zamojskim. Pod niewinną nazwą ukryto plan biologicznego i gospodarczego wyniszczenia ludności polskiej, co wynika wyraźnie z dokumentów niemieckich. Wysiedleno wtedy z 296 gromad ponad 110 tysięcy osób, w tym ponad 30 tysięcy dzieci, z których w obozach przejściowych w Zamościu i Zwierzynku jak również podczas wywożenia do powiatów garwolińskiego, lukowskiego, siedleckiego i mińsko-mazowieckiego oraz w obozach koncentracyjnych w Oświęcimiu i na Majdanku zginęło 10 tys. Może warto przytoczyć kilka faktów. W lutym 1943 r. do Piławy przybył transport 500 dzieci i starców, ale w wagonach nie znalaziono już ani jednej żywej istoty. Cały transport skierowano do Sobiboru, gdzie zwołki spalono. W Oświęcimiu dzieci z Zamojszczyzny mordowano zastrzykami z fenolu. W lipcu i sierpniu z obozu przejściowego w Lublinie przy ul. Krochmalnej wywieziono kilka transportów dzieci w głąb Niemiec. Ślad po nich zaginął, prawdopodobnie zostały zamordowane.

— Starsi pamiętają, że w czasie okupacji istniały tzw. obozy pracy dla młodocianych. Sądząc z nazwy...

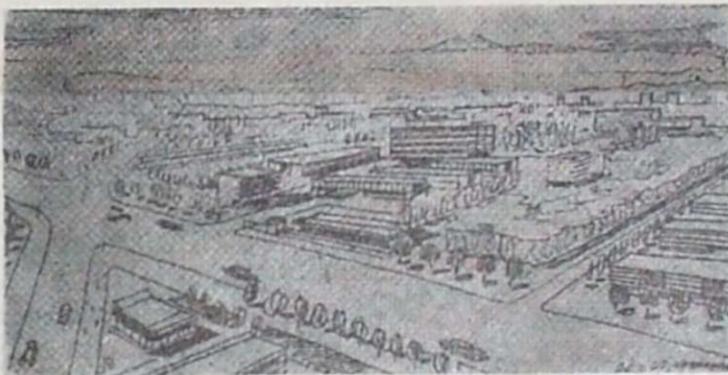
— Nazwa miała niewiele wspólnego z rzeczywistością, wciąż chodziło o unicestwienie najmłodszej części narodu. Centralny oboz pracy znajdował się w Łodzi, jego filia w podmiejskim folwarku

Dzierżaznia. Umieszczano tam dzieci i młodocianych za bardzo drobne przewinienia, często bez żadnego powodu, wystarczył zrykły nakaz policji niemieckiej lub gestapo. Kilka tysięcy dzieci od lat 8 zmuszono do pracy ponad siły, za niewykonanie wysokiej normy karano odebraniem wyżywienia, aresztem, zamknięciem w szafach na stojąco, a nawet chłostą i to publicznie. Rygor był tu surowszy niż w pewnych okresach w obozach koncentracyjnych dla dorosłych. Wyczerpanie fizyczne i choroby zaczęły dziesiątkować dzieci. Na Lubelszczyźnie było 15 obozów pracy, tzw. junackich, gdzie umieszczano młodzież polską do lat 18. Zmuszano ją do bardzo ciężkich robót, przy najmniejszej okazji stosowano ostre szkiany z biciem włącznie.

— Straty biologiczne były bardzo dotkliwe dla naszego narodu. Ale nie tylko do tego zmierział okupant?

— Ogólnego bilansu strat nie udało się jeszcze sporządzić, ale może w tym roku uda się opublikować pełniejsze dane dotyczące całego kraju. Jeżeli chodzi o Lubelszczyznę, mam udokumentowane ok. 80 proc. zbrodni. Oczywiście były i straty innej natury. Dziecko polskie, patrząc bez przerwy na nocne rewizje, publiczne egzekucje, często osób najbliższych, żyło w ciągłej trwodze i niepewności. W wielu wypadkach dzieci musiały zarabiać nie tylko na siebie, ale i na rożnięstwo, niekiedy i na starszych krewnych. Nauczanie było bardzo ograniczone, chociaż trzeba tu podkreślić, że wielki wysiłek dorosłych w tajnym nauczaniu łączył się z wysiłkiem dzieci. Celowo też okupant rozpiął młodzież. Wszystko to powodowało ciężkie urazy w psychice dziecka, pozabawiało je normalnej dla tego wieku radości życia. Dziś może właśnie dlatego otaczamy nasze dzieci tak wielką opieką. A Centrum Zdrowia Dziecka będzie przypominało nam wszystkim, że zbrodni hitlerowskich nie zapomniemy, że zbrodniarzom nie przebaczymy.

(dost)



Jeden z projektów wstępnych Centrum

CHARAKTERYSTYCZNY szczegół pejzażu wojewódzkiego miasta Kielce: dużo kobiet w ludowych zapaskach, wielu mężczyzn w „oficerkach”. Kielecka społeczność to konglomerat najeżdżających tubylców i ludności napływowej, przeważnie ze wsł. Z jednej strony patriotyzm lokalny, wywołujący różnorakie ambicje, z drugiej zaś — brak poczucia przynależności do miasta, brak tych odniesień familijno-osobistych, które całkowicie wiązałyby ludzkie biografie z określonym środowiskiem.

C. K. Kielce. Wspaniały barokowy zamek, wygodny nowoczesny hotel, a obok — barak dworca kolejowego, do zbudowania przypominający stacyjny z westernów. Nany niegdys teatr, do dziś w lichym budynku, liczne środowisko plastyczne — bez pawilonu wystawowego, bez możliwości prezentacji. W sumie miasto kontrastów, miasto potrzebujące jeszcze wiele, choć nie mało już ma.

Posiada na przykład Klub Międzynarodowej Prasy i Książki, otwarty trzy lata temu, który zbierając zasłużone pochwały za swoją wielostronną i prężną działalność, ujawnia jednocześnie wszystkie niedostatki w kulturze tego miasta. Czyny to mimochodem, niejako przy okazji.

Jego imponujące i estetycznie urządzone pomieszczenia wyraźnie kontrastują z wieloma innymi placówkami kultury, zajmującymi skromne lokale. Zawsze jest wypełniony, czego nie można powiedzieć o wszystkich klubach kieleckich; bywają dni, kiedy 400 osób przeżywa się przez jego czytelnia. Są to ludzie w różnym wieku, od nastoletków począwszy, na emerytach skończywszy. Bywają tu przedstawiciele wolnych zawodów, inżynierowie, urzędnicy, robotnicy, uczniowie. W końcu chodzi o to, że Klub MPiK jest jedyną placówką kulturalną w Kielcach, która skupia ludzi różnych zawodów i generacji, a tym samym robi coś w kierunku integracji społeczeństwa, tak bardzo pożądaną w tym rozkawałkowanym socjalnie mieście. Umiejętność współżycia w zespole, rozbudzenie ciekawości świata i ludzi, zaspokajanie potrzeb kulturalnych — oto czego uczy i co proponuje kielecki Klub.

Te cechy jego działalności są na tyle ogólne, że dają się odnieść w innych, podobnych placówkach w kraju. Państwowa jednak należy o zarysowanej specyfice miasta, która narzuca tym ogólniejszym treść całkiem swoiste i wielowarstwowe. Ile bowiem wysiłku kosztowało kierownictwo Klubu wykształcenie u gości — przede wszystkim młodych — nawyku... czytania. Niemal pod nos podsuwano młodzieńcom wybrane pisma, pokazywano interesujące artykuły. Najlepszą jednak formą zajęć okazały się wystawki prasy i politycznych oraz spotkań z zespołami redakcyjnymi i poszczególnymi dziennikarzami. Najlepszym chyba dowodem wychowawczej roli Klubu jest fakt wyodrębnienia się spośród gości czegoś w rodzaju nieformalnego samorządu, złożonego ze stałych bywalców.

Jak wspominałem, w Kielcach nie ma sali wystaw plastycznych.

Ale jest Klub MPiK. W 1966 r. urządzono w nim 19 ekspozycji fotografii, plakatu, reprodukcji malarstwa i oryginalnych prac rzeźbiarskich i malarskich miejscowych artystów. Istotne przy tym, że te wystawy są oglądane, nie stanowią tylko pozycji klubowego planu, ale rzeczywisty instrument kształtowania upodobań estetycznych. W roku ubiegłym liczba wystaw — nie licząc kronik tygodniowych CAF — osiągnęła 21.

Bezpoleśnym następstwem zręcznej reklamy (m. in. wystawy) jest systematyczny wzrost obrotów księgarskich Klubu. W 1967 r. w stosunku do roku poprzedniego największy skok zaobserwowano w sprzedaży reprodukcji dzieł sztuki — ponad 187 proc. — co jest chyba mocnym argumentem przeciwko twierdzeniom o rzekomnym spadku zainteresowania plastyką. Wyniki te księgarń — kierowana przez Antoninę Sitarą — zawdzięcza dobrej organizacji sprzedaży i wspomnianej reklamie w salach klubowych.

Kielecki Klub MPiK to prawdziwy omnibus, w którego wnętrzu każdy znajdzie coś interesującego. Tu właśnie, poza licznymi uroczystościami „z okazji”, odbywają się cykliczne przeglądy wydarzeń międzynarodowych, gospodarczych i kulturalnych, prowadzone przez wybitnych publicystów i naukowców, tu posłuchać można prelekcji o filmie i astronomii; w jednym 1967 r. odbyło się w Klubie 59 imprez.

Prelekcje, spotkania autorskie, kursy języków obcych, recitale fortepianowe i koncerty Państwowej Orkiestry Symfonicznej nie wyczerpują przecież programu działalności Klubu. Oto w ubiegłym roku wspólnie z Dyskusyjnym Klubem Filmowym kierownictwo instytucji zorganizowało i Kielecki Festiwal Filmów Krótkometrażowych, prezentujący filmy produkcji krajowej, zagranicznej w kraju i za granicą. Impreza, która wzbudziła wielkie zainteresowanie publiczności, została włączona na stałe w program obchodów Świętokrzyskich Dni Kultury.

Klub MPiK w Kielcach amortyzuje się społecznie po zaledwie trzyletniej działalności, co w dużym stopniu jest zasługą jego kierownika, Włodzimierza Matwina, człowieka o dużym doświadczeniu, całkowicie oddanego swojej pracy. Ale Kielce to miasto kontrastów, przejawiających się może najjaskrawiej w dziedzinie życia kulturalnego. Publiczność wali do Klubu drzwiami i oknami, kiedy na afiszu pojawia się zapowiedź, że znany reporter opowie o swoich wrażeniach z egzotycznych podróży, lub Barbara Kraftówna wystąpi w recitalu aktorskim. Problematyka trudniejsza, wymagająca pewnego przygotowania intelektualnego nie wzbudza takiego entuzjazmu. Warto jednak zwrócić uwagę na ciekawe zjawisko, bardzo zresztą pożądaną: wzrost zainteresowania sprawami politycznymi i ekonomicznymi.

Kluby MPiK, wchodząc w skład wyodrębnionej agencji „Ruchu”, która obchodzi w tym roku dwudziestolecie istnienia, nazwano kiedyś oknami na świat. Klub kielecki na pewno zasługuje na tę nazwę.

IJK

Po drugiej stronie Bugu

Nikołaj Szewczuk

Dzisiejsza Powiść

NIESPELNA 30 lat temu, aby dojechać do wioski Powiść, leżącej na południowej granicy powiatu kobryńskiego, trzeba było prawie całej wyprawy, trwającej niekiedy dwa dni. Droga do wioski wiodła przez lotne usypiska piasku i bagna. Powiść, oddległa od miasta o 40 km, była przysiółkową miejscowością za siedmioma lasami i górami. Wzdłuż długiej drogi tu i ówdzie stały chatynki z małymi okienkami. I chociaż wioska liczyła około stu domów, rano do niewielkiej szkoły biegła tylko gromadka dzieci obutych w lapcie. Co prawda liczni rodzice otrzymywali karę grzywny za nieposyłanie dzieci do szkoły, ale płacić nie było czym, odrabiali więc szarwarki. Raz lub dwa razy na tydzień przychodziło tu kilka egzemplarzy gazet, które przenumerowali pp i nauczyciel. Nowościami interesowało się wielu, jednakże gazeta była za rzutem, a zresztą większość mieszkańców nie umiała czytać. Ludzie dniem i nocą pracowali w polu, obrabiając skrawki ziemi, rozrzucone wśród lasów i łąk.

Jesienią ubiegłego roku z moim przyjacieleciem kierownikiem Wydziału Kultury PWRN w Lublinie, Zbigniewem Fracem, odwiedziłem Powiść. W wiosce widać tę samą długą ulicę zbudowaną rząd nowych domów, krytych blachą, dachówką i gontem, i tylko gdzieś niedziedzi, jak świadectwo przeszłości, stoja stare chaty, których drzwi zabito deskami na znak, że już nikt tu nie mieszka. Nie zdążyłem ich jeszcze usnąć.

Do wsi dojechalismy asfaltową szosą i tylko u progu wioski, tuż za mostem przeznaczonym przez główny kanał sy-

stem osuszającego, piasek czeptał się jeszcze kół...

Było święto, dopisała pogoda. Na ulicach pełno odświętnie ubranych ludzi i bawiących się dzieci. Ludzie — przed klubem, poczta, apteka i otwartymi sklepami. W jednej z sal wiejskiego domu kultury odbywa się próba detej orkiestry, w sali kina — projekcja nowego filmu. Nie wszyscy chętni mogli się tutaj dostać. „Ale to nie — mówią mieszkańcy Powiści, z dumą wskazując budujący się nowy dom kultury — tutaj będzie sala widowiskowa na 300 miejsc, duży hall, garderoba, liczne pomieszczenia dla kół zainteresowań, a także biblioteka z czytelnią”. Przedmiotem nie mniejszej dumy mieszkańców jest nowa szkoła w centrum wsi. Duży, dwupiętrowy budynek z gabinetami naukowymi, salą gimnastyczną i stołówką. Na tle szkoły — mała cerkiewka, która na przestrzeni wieków górowała nad wsią. Dziś wielu absolwentów miejscowej szkoły ukończyło wyższe studia. Są wśród nich lekarze, inżynierowie, nauczyciele i agronomowie. Część z nich wróciła do rodzinnej miejscowości. Dziś do każdego domu dociera gazeta, tygodnik, w każdym jest radio, w wielu — telewizor. Ponad 500 mieszkańców korzysta z miejscowej biblioteki.

Za wsią, jak sięgnąć okiem, zielenią się pola. Na osuszonych torfowiskach, które były niedostępnymi łąkami — uprawia się tyto i pszenicę. Z bagnisk wydarto, całe hektary urodzajnej gleby. Z Powiści wyjechałismy późno. W oknach domostw pogasło już elektryczne światło, w wielu jednakże błyszczał telewizyjny ekran. Gdzieś rozlegał się gwizd, dolatywały na dach pociąg.

W drodze do Brześcia prowadziliśmy długą rozmowę, dzieląc się wrażeniami z pobytu w miejscowości tak gruntownie zmienionej. Zmiany są rzeczywiście ogromne. Z każdym rokiem zmienia się kulturalne oblicze wsi. Takie urządzenie jak dom kultury, biblioteka, kino, radio, gazeta stały się w pełni dostępne. Potrzeby kulturalne mieszkańców okręgu brzeskiego znajdują swoje odzwierciedlenie w sieci urządzeń kulturalno-oświatowych. Działa 599 domów kultury i klubów oraz 976 bibliotek. W każdym wiejskim domu kultury zatrudnionych jest trzech etatowych pracowników, w klubie — dwóch, w bibliotece — jeden. Większość z nich posiada średnie przygotowanie specjalistyczne, jakie dają szkoły kulturalno-oświatowe.

Jednym z przykładów ilustrujących rozwój kultury i artystycznych zamiłowań społeczeństwa są jego zainteresowania muzyczne. Obecnie w okręgu istnieje 20 państwowych szkół muzycznych, w których uczy się około 10 tys. młodzieży. Otwarto też dwie pierwsze państwowe szkoły muzyczne w kolchozach. Niestety, nie możemy jeszcze, ze względu na brak wykwalifikowanych kadr, przyjąć do szkół muzycznych wszystkich chętnych.

Drugi przykład to masowy udział w ruchu amatorskim. W różnych zespołach uczestniczy około 50 tys. osób. W ubiegłym roku we wszystkich wsiach, rejonach i miastach odbył się festiwal sztuki amatorskiej, który wyłonił wiele ludowych talentów. Dziesiątki zespołów i setki ich uczestników otrzymały pamiątkowe dyplomy republikańskiego ministerstwa kultury, a 60 osobom wręczono nagrody. Brały one też udział w

finalowym koncercie Wszechzwiązkowego Festiwalu, jaki odbył się w Kremłowskim Pałacu Zjazdów.

Zyciu mieszkańców wsi przydają piękna zespoły taneczne, muzyczne oraz chóry. Dużą popularnością cieszą się orkiestry dęte, jest ich we wsiach już ponad 50. Dążymy do tego, aby w ciągu najbliższych pięciu lat własną orkiestrę dętą posiadała większość kolchozów. Zorganizowano nawet specjalną szkołę kształcąca dyrygentów i kierowników takich orkiestr, nadto każdego roku na dwunastomiesięcznych kursach w Brześciu i Mińsku kształcą się około 100 kierowników wiejskich zespołów amatorskich.

Przywiązujemy dużą wagę do pracy inteligencji w różnych zespołach ruchu amatorskiego. Sukcesy, które w pracy osiągają domy kultury, kluby, biblioteki, polepszenie warunków ich działalności, zawiązujemy w dużej mierze większym nauczycielom, a także lekarzom i specjalistom służby rolnej, którzy prowadzą wykłady, prelekcje, seminaria itp.

Rok ubiegły w działalności kulturalnej był wyjątkowy. Obchodziliśmy 50 rocznicę Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej. W roku tym byli nam szczególnie bliscy ci, których wśród nas już nie ma, którzy za naszą przyszłość oddali życie. Podjęto akcję upamiętniania miejsc poległych w czasie wojny ojczyźnianej żołnierzy, partyzantów i mieszkańców. Hasło „o nikim nie zapomniemy” — stało się wezwaniem ogólnonarodowym. W kolchozach stawiano pomniki i obeliski — wyrzyna na nich w marmurze nazwiska poległych za Ojczyznę. Akcją ta kierowało i nadal kieruje powołane niedawno Towarzystwo Ochrony Pomników Historii i Kultury. W swoich szeregach skupia ono około 20 tys. członków, w tym ponad 100 członków zbierowych — kolchozów i zakładów pracy.

Rozwijał się też szeroko ruch organizacji muzeów w kolchozach, sowchozach i zakładach pracy. Ekspozycje ukazują historię miejscowości i najbliższych okolic.

Prawidłowa praca kulturalno-oświatowa zależy od kadry i bazy materialnej. Sprawy te rozwiązujemy przez organizację rocznych i dwuletnich szkół (również zocznych), seminariów oraz kursów dla pracowników kultury. Każdego roku tą formą dokształcania obejmujemy ponad 200 osób. Jeśli zważyć, że w okręgu zatrudniamy 3300 etatowych pracowników, nie jest to wiele. Porwała jednakże na weryfikowanie kwalifikacji. W zakresie przygotowania bazy należy odnotować przede wszystkim 187 aktualnie budowanych klubów wiejskich. Dysponują one salami widowiskowymi na 200—400 miejsc, zapleczem scenicznym, biblioteką, pomieszczeniami niezbędnymi dla pracy kół zainteresowań. W ubiegłym roku oddano do użytku 60 takich klubów, pozostałe zostaną przekazane w roku bieżącym. Został zatwierdzony trzyletni plan budowy wiejskich domów kultury i klubów — do r. 1970 wybudowanych zostanie 153 obiektów. Wszystkie kluby wznoszone są ze środków kolchozowych, wielkość jednej takiej inwestycji wynosi od 60 do 120 tys. rubli. Wokół klubów powstają parki i skwery. Za kilka lat każdy kolchoz będzie właścicielem pięknego zespołu urządzeń kulturalnych...

Można byłoby wiele jeszcze napisać o innych formach pracy kulturalno-oświatowej. Choćby o pracy klubów zainteresowań: gospodyń wiejskich, ogrodniczych, młodzieżowych kółkach zainteresowań, prelekcjach, działalności uniwersytetów ludowych... Dzisiaj nikogo już specjalnie nie zdziwi fakt, że na wsi występuje górnienie na przykład sawodowa orkiestra symfoniczna republiki... Oblicze prowincji zmieniło się nie do poznania.

Autor tego artykułu jest kierownikiem wydziału kultury obwodu brzeskiego.

(Red.)

PROZA „Trazymeńskiego zajęcia” Kazimierza Illakowiczówny zbudowana jest z tego samego materiału, co jej liryka. Można by powiedzieć, że liryka wyraża biografie wewnętrzne, a proza utrwalą wydarzenia zewnętrzne, okrucy faktów, strzępy wątków. Nie jest to uważa najważniejszą przy nową książkę znakomitej poetki, tym bardziej, że i w „Trazymeńskim zajęciu” znajdujemy wiele stron prawdziwie poetyckich. Nie stanowi to książka pamiętnika, choć mówi o życiu pisarki. To raczej szkice wspomnień, właśnie księga dysgresji, jak w podtytuł napisana autorka. Jeśli jednak przeciwstawiłem wyżej twórczość poetycką Illakowiczówny jej prozie, to usprawiedliwia mnie cytując „Trazymeńskiego zajęcia”: Wszystko, co tutaj piszę, to święta prawda bez uzupełnień, cieniowań i technostoi, nie tak, jak bywało w wierszach. Zastrzeżenie to zostało uczynione z myślą o jednej sytuacji, chodziło o nastawienie czytelnika, o uzyskanie jego całkowitego zaufania. Czynniki się go świadkiem spraw rzeczywistych. Liryka Illakowiczówny z ostatnich lat wykazuje jednak, że łączenie prawdy z prozą a zmyślenia z poezją nie jest u tej autorki możliwe.

Zastrzeżenie, jakiego dokonała autorka, stanowi przecież stary chwyt literacki, związany z osiemnasto- i dziewiętnastowieczną powieścią. Bo też „Trazymeńskiego zajęcia”, jakkolwiek przynosi o jedynie fragmenty biografii, można odczytywać jako powieść o sobie opowiadaną najbliższej osobie. Powieść ta prowadzona jest według innych praw niż chronologia. Pojawiają się zdarzenia w takiej kolejności, w jakiej odkrywa je pamięć. Położyłbym na sposobie opowiadania, na sposobie narracji w tej książce szczególny akcent, bowiem nawiązuje ona do najlepszych tradycji literackiej gawędy z jej bezpośredniością, barwnością, żywym tokiem zdania i osadzeniem w potocznym, konkretnym języku. Brak porządku czasowego w następstwie faktów stanowi zresztą jeden z uroków tej książki. Nigdy nie wiemy, gdzie nas autorka zaprowadzi, jaką historię opowie, w którym miejscu ją przerwie. A przerywa czasem w miejscach — zdawałoby się — nieoczekiwanych. Illakowiczówna zawsze pozostaje wierna faktom: rzeczowo je przedstawia, a nie próbuje ich przemienić w beletrystykę. Doskonałym przykładem pisarskiej rzetelności może być rozdziałek „Żeromski na zimno”. Zawodowym wspominkarzem spotkanie z wielkim pisarzem zapelnily wiele stron, gdy autorce „Trazymeńskiego zajęcia” wystarczy półtora.

Można zauważyć w potraktowaniu autora „Przedwiośnia” pewna przekorę, która zresztą na kartkach książki nieraz się objawia. Któż bowiem odważyłby się pisać o słowikach jako o pladze albo na zachwyty widokami alpejskimi odrzec, że właśnie góry zasłaniają piękne widoki. Przekorny — tym razem mimowolnie — jest i tytuł książki. A nawiązuje on do sytuacji, w której ktoś, zdający sprawę z pobytu nad jeziorą Trazymeńskim, związanym z wielką historią, umie powiedzieć tylko tyle, że nad tym tam jeziorem tośmy wtedy z kramratami zajęcia ubili.

Można ten rodzaj postawy odnieść do sposobu widzenia zawartego w całej książce, bowiem często opowiadane są sprawy drobne, blahe, niemal marginesowe. To jednak tylko punkt widzenia czytelnika, a nie pisarki, dla której wymiar tych wydarzeń mógł być nieporównanie większy. Dzięki temu właśnie zostały się w pamięci i przetrwały. Dotyczy to zwłaszcza wspomnień z dzieciństwa, a o nich właśnie powiada autorka, że pamięta się najbardziej rzeczy gwałtowne, inne się ulatniają z pamięci.

Mnie ta książka sprawiła wiele prawdziwej radości. Czytałem ją jako dopełnienie i komentarz do poetyckiego dzieła Kazimierza Illakowiczówny. Zachwyciłem się zachowaną w tych wspomnieniach poezją przeżyć z dzieciństwa, poddawałem się liryzmowi i przedniemu humorowi, jakiego książka dostarcza wielu przykładów. Po latach panowania tandety, osłoniętej niestety często sztywną nowoczesnością, ta czysta, żywa i jędrna polszczyzna ma szczególnie smak. A pewna staroświeckość (rzeczywista czy stylizowana) tych gawęd ma urok nowości. Nawet wtedy, gdy mówią o świecie już nie istniejącym. Przywrócenie ceny dawniejszym wartościom nie jest przecież tylko zastągnięciem mody, ale stanowi wyraz odnowienia zaufania do wartości sprawdzalnych, które przetrwały swój czas.

Tadeusz Klak

Kazimiera Illakowiczówna: Trazymeński zajęcia. Kraków 1967. Wyd. Literackie.

„A mnie chodzi o malarstwo..”

WSALACH lubelskiego BWA otwarto wystawę pod tytułem „Plenery białowieskie”. Pokazano spory zestaw obrazów, z których wiele zsygnowanych jest nazwiskami wystarczająco głośnymi, aby zachęcić do uważnego spojrzenia. Jeśli oczywiście przyjmujemy taką kolejność: najpierw nazwisko, a potem obraz. Jest to postępowanie w miarę bezpieczne, wykluczające kupno kota w worku. Bardzo podły afisz, wywieziony przed gmachem mieszczącym BWA, anonuje m. in. Panka, Dominika, R. Ziemskiego, Halasa, Skupina, Lengiewicza, Liberskiego. Metoda godna pochwały, zgodna z popularyzatorskimi intencjami lubelskiego Biura Wystaw Artystycznych. Tych intencji starczy jednak do progu sali ekspozycyjnej. Plon plenerów białowieskich — jednej z najważniejszych imprez plastycznych czterech województw, polączonych współpracą kulturalną — nie zastępuje na katalog, nie towarzyszy mu żadna pisana dokumentacja, wyjaśniająca, co to takiego ten plener, jaki jest jego cel, jaka jest jego historia.

Przez swoich rzeczników prasowych kierownictwo BWA regularnie obwieściło, że chodzi mu o podnoszenie kultury plastycznej wśród malarzy. Popiera to licznymi wystawami nie tylko w Lublinie, ale i w miastach, miasteczkach i siolach gromadzkich. Obrazy zabłądziły pod eternity, a my także jesteśmy „za” nie od dzisiaj.

Uważamy przecież, że pozytywna praca u podstaw nie usprawiedliwia lekkiego traktowania tego obszaru, na którym powstaje sztuka. Uważamy, że do ludzi ją tworzących należy podchodzić z taktem. A jeśli wierzyć osobie piszącej w „Sztandarze Ludu” pod kryptonimem JAG, o wyrażającej — co wynika z tekstu — opinie kie-

rownictwa BWA, wystawy premierowe w głębokim terenie nie budzą entuzjazmu wśród artystów, ale nie warto się tym przejmować.

„Ta nowość, do której nikt artystów dotąd nie przyzywał, wywoływała niezadowolone i głośnie sprzeciwu ze strony artystów, zwłaszcza pozalubelskich, ale organizatorzy nie oglądając się na to, praktykę tę zamierzają kontynuować”. (Podkr. — IJK).

Niech kontynuują, ale oglądając się na to!

A teraz „Plenery białowieskie” — bez informacji, zbliżającej osoby i twórczość artystów do przeciętnego widza, na którym BWA tak bardzo przecież zależy. Prasowa notatka cytowanego autora, lokalizująca plenery białowieskie w Puszczy Kampinowskiej (!) wprowadza nie tylko błąd, ale i żenuje.

Rozumiem, że mogło zabraknąć środków na druk choćby mizernej składanki katalogowej, ale jak można wyfullamować przekraczanie nazwisk autorów, chrzczenie ich imionami z własnego kalendarza lub po prostu przypiękanie do obrazu karteczki z fragmentem nazwiska? Prawo autorskie także chroni artystyka!

Plenery białowieskie — trzeci z kolei odbył się w ub. roku — są już imprezą głośną i cenioną. Świadczą o tym nazwiska wybitnych artystów, którzy w nich uczestniczą. Świadczą obrazy — rezultat pracy w niezwykle scenaril puśczy (Białowieskiej!). „Podobno — tak mi przynajmniej opowiadał malarze przez mnie ceniący — z nawiązką zastępowała odczyty filozofów i dyskusje z literatami, których tu „nie zorganizowano”. Była najbardziej aktywnym uczestnikiem pleneru, po trosze mentorem ludzkich działań”. — pisał Jerzy Stajuda.

„Plenery” nie doczekały się należytej oprawy, nie zastąpiły na dokument drukowany. Natomiast

ANI się spostrzeżliśmy, kiedy wśród ciągłych walk z przeciwnościami losu, boję o zachowanie ciągłości istnienia, polepszanie warunków lokalowych, wśród zmagania z opiniami krytyków lubelskiej Operetki skończyła dwadzieścia lat. I nie wiadomo, ile w tym przypadkowości, a ile zamierzonej przekory, że na jubileusz przygotowała premierę... „Orfeusza w piekle” Jakuba Offenbacha.

Ala dajmy spokój złośliwym domniemaniom, a zamiast tego złoźmy zaraz na wstępie życzenia zespolowi, aby od tej chwili życie i praca układały mu się jak w „Krajinie uśmiechu”. W wieku lat dwudziestu ma się dopiero całe bujne życie przed sobą, precz więc z ponurymi myślami o trudnym dzieciństwie!

Co wcale nie znaczy, że nie warto w tym miejscu przypomnieć kilku najważniejszych faktów z przeszłości.

Dzisiejsza poważna państwowa placówka kulturalna (czy można słowa „poważna” użyć dla określenia przybytku lekkiej muzyki) początki miała bardzo skromne i bez większych realnych perspektyw na przyszłość. Kiedy przed dwadzieścia laty przed lubelską publicznością po raz pierwszy stanął skromny, na wprost amatorski zespół teatralny, nie mógł on sobie pozwolić nawet na wystawienie jakiegokolwiek pełnospektaklowego widowiska muzycznego. Grupa entuzjastów operetki, przygotowana przez wojsko do Domu Żołnierza (dzisiejszy Dom Oficera), była tak niepewna swego losu, że nawet nie usiłowała pójść w ruch maszyny biurokratycznej, co z punktu widzenia naszych polskich nawyków jest rzeczą karygodną, zaś dla badacza historii lubelskiej kultury sprawą o tyle niewygodną, że prawie niemożliwe jest obecnie ustalenie, jaki był tytuł oraz treść pierwszego przedstawienia.

Podania głoszą, iż na początku dawano przedstawienia składankowe, fragmenty różnych znanych operetek. Potem spróbowano... adaptacji „Chaty za wsią” J. I. Kra-

szewskiego i „Zeńców” S. Szymonowicza. Ale już po roku publiczność lubelska zobaczyła kompletną „Wesołą wdówkę” Franciszka Lehara, a historia odnotowała nazwisko pierwszego i potem długoletniego dyrektora — A. Niemczynowskiego. Z dalszych dokumentów dowiadujemy się, że kierownikiem muzycznym operetki był wówczas A. Cichoń, zaś kierownictwo literackie spoczywało w rękach dr E. Golebiewskiego. Reżyserem był K. Dembowski.

A więc nowa placówka kulturalna rusza pełną parą! Lublin leży u jej stóp! Kosze róż dla solistów! Szaj na widowni, gdy na scenie pojawia się „corps de ballet”! Na głównych placach Lublina — pojedynki na białą broń pomiędzy wielbicami poszczególnych artystek! Feeria i fajerwerki!!!

Może w tym wszystkim trochę przesady, bo i piszące poniosła fantazja i nowa socjalistyczna moralność sprzeciwiłaby się podobnym reakcjom. W każdym razie miejscowe kroniki notują, że był to okres, kiedy zespół „określił się nawet — przyp. mój — nabral cich zespół zawodowego”.

Tak czy inaczej teatr działał, zdobywał sobie publiczność, co dwa-trzy miesiące dawał premiery. Dotąd operetka działała trochę na tzw. „wariackich papierach” jako rodzaj spółdzielni artystów, w 1948 r. nastąpiło połączenie z Teatrem Dramatycznym im. J. Osterwy. Po raz pierwszy Teatr Muzyczny otrzymał wówczas dotację z funduszu państwowego. Ale wspólna sielanka długo nie przetrwała. To już nie były owe czasy, kiedy Ludwik Sołski wraz ze swymi kolegami po fachu grywał dramaty Szekspira, a na dokładkę dawał na koniec jeden akt operetki gwoli osuszenia lez na widowni... Po roku teatry rozłączyły się, a po dwóch następnych Teatr Muzyczny przestał istnieć, nie mogąc podoląć trudnościom finansowym.

A jednak w 1956 roku wznowił działalność. Już jako Państwowa Operetka, posiadająca nie przesadne co prawda, ale wystarczające do egzystowania dotacje. Można było w takiej sytuacji pozwolić sobie na angażowanie znanych solistów i realizatorów, na znaczne powiększenie zespołu artystycznego. Rozpoczęto

od wystawienia „Swobodnego wiatru” Dunajewskiego, a potem poszły premiery prawie wszystkich bardziej znanych operetek. Od momentu upaństwowienia teatr dał ich ponad trzydzieści. Do najbardziej znanych zalicza się przedstawienie muzyczne „My Fair Lady” Fridericka Loewego i Alana Jay Lerner’a w inscenizacji i reżyserii Romana Szykały oraz scenografi Lecha Zahorskiego. Współpracowało i współpracuje nadal z Państwowa Operetka w Lublinie szereg wybitnych osobistości artystycznych. Reżyserowali tutaj m. in. Beata Artemska, Bronisław Dąbrowski, Barbara Kustrzewska, Tadeusz Wołowski, Andrzej Ukleja, scenografie tworzyli Adam Killan i Lech Zahorski. D niedawna kierownictwo artystyczne Operetki spoczywało w rękach Barbary Kustrzewskiej.

Można przytoczyć jeszcze długą listę aktorów i realizatorów różnych specjalności, którzy są lub byli związani z lubelską Operetką. Ale takie wymienienie nazwisk byłoby tylko czynnikiem ukłonnym w stronę osób, które są wszak bliskie wszystkim miłośnikom teatru, znane przez nich i cenione. Wkrótce z pewnością spotkamy się na premierze „Orfeusza w piekle”.

Państwowa Operetka weszła w codzienność i odświętność Lublina, ale dała się przecież poznać także innym miastom, a nawet państwom. Daje przedstawienia we współpracujących z lubelskim województwami: białostockim, kieleckim i rzeszowskim, odwiedzała Gdańsk, Górną i Dolną Śląsk, Wybrzeża z występami na Węgrzech do ZSRH. W sumie zobaczyło jej spektakle ponad i miliony widzów. Jest to wiele w rachunku ilościowym i... relaksowym.

Kończąc, nie można pominąć jednego nazwiska, które zrosło się z historią Operetki lubelskiej. Reżyser Paweł Bem obchodzi wraz z dwudziestolecie istnienia teatru muzycznego jubileusz 50-lecia pracy twórczej. Dla niego i dla całego zespołu Państwowej Operetki w Lublinie — życzenia długich i owocnych lat twórczych!

M. D.

„Dialog na Święto Narodzenia” — A. Rozhina

Mirosław Derecki

TEATR Akademicki „Gong 2” nie kazał nam długo czekać, ostatnio znowu wystąpił z kolejną premierą, widowiskiem — „Dialog na Święto Narodzenia”. I już zapowiadając inscenizację tekstów Franciszka Villona. Wkrótce weźmie udział

w lubelskiej Studenckiej Wiośnie Teatralnej skupiającej najciekawsze teatry studenckie z całej Polski. Zaprezentuje tam m. in. „Elżbietę Bam” Daniela Charmsa, przedstawienie, które przed kilkoma miesiącami przyniosło mu (obok widowiska — „Za! Kronika 1917 roku”) uznanie krytyki oraz szereg nagród na festiwalu studenckim w Łodzi. Teatr z Lublina, dotąd nie najwyższej notowności, okazał się nagle w czołówce studenckiego ruchu artystycznego. Stwierdzam to z tym większą przyjemnością, że pod koniec ubiegłego roku zwracałem w „Kamieniu” uwagę (w artykule: „Pasja do teatru czyli Rozhin i inni”) na osiągnięcia artystyczne „Gongu 2” oraz na osobę jego kierownika, a także na fakt niedoceniania jego pracy przez środowisko lubelskie. Na tle ubożego życia teatralnego Lublina, sylwetka „Gongu 2” rysuje się dzisiaj tym bardziej wyraziście.

Z jakiej pozycji jednak oceniam „Gong 2”? Coraz trudniej zakwalifikować go do jakiegokolwiek „szlaku” w schemacie teatralnym. Nie można podciągnąć go do kategorii teatrów zawodowych, tym bardziej nie mieści się w ramach typowego ruchu amatorskiego, ale odbiega również od ukształtowanego u nas w ciągu ostatnich kilkunastu lat modelu „teatru studenckiego”. Teatr parodoksu, satyryczna składanka, estrada polityczna, gdzie tekst słowny liczy się przede wszystkim, gdzie „teatralny spektakl” jest raczej rodzajem „wieszoru literackiego”, a aktor bardziej „prekazuje” ze sceny swe kwestie niż je „gra”, gdzie wreszcie przedstawienie jest artystyczną i programową wypowiedzią swego rodzaju „grupy twórczej” wypowiedzianej przez formę sceniczną — jest chyba dość oby teatrowi z Lublina.

W „Gongu 2” jest właściwie wszystkiego po trochu. Trochę zawodowstwa i trochę amatorszczyzny, „poezji czystej” i zaangażowanej, pure-nonsensu i „wielkiego repertuaru”, przypadkowości i konsekwencji. To teatr, który wciąż jeszcze przymierzają się — szczególnie w wypadku doboru repertuaru — nie może zdecydować się na co postawić. Pokazuje mierzne lubelskie szopki satyryczne albo „Songi i pieśni Pana Brechta”. Wystawia futurystyczno-filozofo-surrealistyczną „Elżbietę Bam” i zaraz potem realistyczną składankę rewolucyjną „Za!”. Z okazji jubileuszu UMCS daje przedstawienie „Marii” (Curie-Skłodowskiej) i wreszcie widowisko żakowsko-rybaltowskie zaczerpnięte ze staropolskiej dramaturgii, po czym sięga do poezji starofrancuskiej... Przyznam się, że chwilami „Gong 2” kojarzy mi się bardziej z rozkochaną w literaturze luźną grupą studentów i absolutnie wrogą filologii niż mniei lub bardziej odlegającym od schematu — „teatrem” i „grupą twórczą”. Ale równocześnie „Gong-2” coraz kon-

sekwentniej kształtuje swoje oblicze artystyczne zmierzając w kierunku monumentalnego widowiska poetycko-plastycznego, dającego możliwość szerokiego gestu inscenizatorowi operującemu przestrzenią tłumem i plastyką. Oprócz zdolności reżyserskich potrzebny jest do tego na pewno duży, karny zespół dobre warunki lokalowe oraz talent organizacyjny. Części tego wszystkiego nie można odmówić kierownikowi teatru i jego twórcy — Andrzejowi Rozhinowi. Do wodem — ostatnie przedstawienie „Dialogu na Święto Narodzenia”.

Sięgając do dramatów staropolskich Rozhin skompiłował interesujące trzydziściowie widowisko, umiejętnie wplótł intermedia, ustawił całość na zasadzie żakowsko-rybaltowskiego misterium. Przedstawienie otrzymało bardzo interesującą oprawę plastyczną — dzieło młodych krakowskich artystów Elżbiety i Leona Barańskich, stale współpracujących z teatrem, oraz staranne opracowanie muzyczne Janusza Płarskiego. Rozhin dwi się i troi w pomysłach inscenizatorskich, spektakl ma doskonałe tempo, zadziwia „wyszlifowanie” całości prawie w najdrobniejszych szczegółach. Chwilami aż nie do uwierzenia wydaje się fakt, że ten działający jak dobrze wyregulowany mechanizm zespół to grupa osób, które tylko niewielką część swojego czasu mogą poświęcić na przygotowywanie programu.

A to z tzw. aktorstwem? No sama sprawność techniczna uczestników przedstawienia to przecież jeszcze nie wszystko. Tutaj właśnie znajduje się główny punkt wyjścia dla wszystkich „ale” jakie nasuwają się, gdy wnikliwie zaczynamy obserwować spektakle „Gongu 2”. Bezprzeznaczony teatr posiada kilka istotnych wad jednostek, które przetrzą sprostą stawianym przez reżysera zadaniom, a zadania te bardzo często ściśle korespondują z tymi, jakie stawia się aktorowi zawodowemu. Reżisier zespołu daleko do tego. Pomocni twórcy przedstawienia a zespołowi „Gongu 2” bezprzeznaczony teatr posiada szereg istotnych wad jednostek, które przetrzą sprostą stawianym przez reżysera zadaniom, a zadania te bardzo często ściśle korespondują z tymi, jakie stawia się aktorowi zawodowemu. Reżisier zespołu daleko do tego. Pomocni twórcy przedstawienia a zespołowi „Gongu 2” bezprzeznaczony teatr posiada szereg istotnych wad jednostek, które przetrzą sprostą stawianym przez reżysera zadaniom, a zadania te bardzo często ściśle korespondują z tymi, jakie stawia się aktorowi zawodowemu. Reżisier zespołu daleko do tego. Pomocni twórcy przedstawienia a zespołowi „Gongu 2” bezprzeznaczony teatr posiada szereg istotnych wad jednostek, które przetrzą sprostą stawianym przez reżysera zadaniom, a zadania te bardzo często ściśle korespondują z tymi, jakie stawia się aktorowi zawodowemu. Reżisier zespołu daleko do tego. Pomocni twórcy przedstawienia a zespołowi „Gongu 2” bezprzeznaczony teatr posiada szereg istotnych wad jednostek, które przetrzą sprostą stawianym przez reżysera zadaniom, a zadania te bardzo często ściśle korespondują z tymi, jakie stawia się aktorowi zawodowemu. Reżisier zespołu daleko do tego. Pomocni twórcy przedstawienia a zespołowi „Gongu 2” bezprzeznaczony teatr posiada szereg istotnych wad jednostek, które przetrzą sprostą stawianym przez reżysera zadaniom, a zadania te bardzo często ściśle korespondują z tymi, jakie stawia się aktorowi zawodowemu. Reżisier zespołu daleko do tego. Pomocni twórcy przedstawienia a zespołowi „Gongu 2” bezprzeznaczony teatr posiada szereg istotnych wad jednostek, które przetrzą sprostą stawianym przez reżysera zadaniom, a zadania te bardzo często ściśle korespondują z tymi, jakie stawia się aktorowi zawodowemu. Reżisier zespołu daleko do tego. Pomocni twórcy przedstawienia a zespołowi „Gongu 2” bezprzeznaczony teatr posiada szereg istotnych wad jednostek, które przetrzą sprostą stawianym przez reżysera zadaniom, a zadania te bardzo często ściśle korespondują z tymi, jakie stawia się aktorowi zawodowemu. Reżisier zespołu daleko do tego. Pomocni twórcy przedstawienia a zespołowi „Gongu 2” bezprzeznaczony teatr posiada szereg istotnych wad jednostek, które przetrzą sprostą stawianym przez reżysera zadaniom, a zadania te bardzo często ściśle korespondują z tymi, jakie stawia się aktorowi zawodowemu. Reżisier zespołu daleko do tego. Pomocni twórcy przedstawienia a zespołowi „Gongu 2” bezprzeznaczony teatr posiada szereg istotnych wad jednostek, które przetrzą sprostą stawianym przez reżysera zadaniom, a zadania te bardzo często ściśle korespondują z tymi, jakie stawia się aktorowi zawodowemu. Reżisier zespołu daleko do tego. Pomocni twórcy przedstawienia a zespołowi „Gongu 2” bezprzeznaczony teatr posiada szereg istotnych wad jednostek, które przetrzą sprostą stawianym przez reżysera zadaniom, a zadania te bardzo często ściśle korespondują z tymi, jakie stawia się aktorowi zawodowemu. Reżisier zespołu daleko do tego. Pomocni twórcy przedstawienia a zespołowi „Gongu 2” bezprzeznaczony teatr posiada szereg istotnych wad jednostek, które przetrzą sprostą stawianym przez reżysera zadaniom, a zadania te bardzo często ściśle korespondują z tymi, jakie stawia się aktorowi zawodowemu. Reżisier zespołu daleko do tego. Pomocni twórcy przedstawienia a zespołowi „Gongu 2” bezprzeznaczony teatr posiada szereg istotnych wad jednostek, które przetrzą sprostą stawianym przez reżysera zadaniom, a zadania te bardzo często ściśle korespondują z tymi, jakie stawia się aktorowi zawodowemu. Reżisier zespołu daleko do tego. Pomocni twórcy przedstawienia a zespołowi „Gongu 2” bezprzeznaczony teatr posiada szereg istotnych wad jednostek, które przetrzą sprostą stawianym przez reżysera zadaniom, a zadania te bardzo często ściśle korespondują z tymi, jakie stawia się aktorowi zawodowemu. Reżisier zespołu daleko do tego. Pomocni twórcy przedstawienia a zespołowi „Gongu 2” bezprzeznaczony teatr posiada szereg istotnych wad jednostek, które przetrzą sprostą stawianym przez reżysera zadaniom, a zadania te bardzo często ściśle korespondują z tymi, jakie stawia się aktorowi zawodowemu. Reżisier zespołu daleko do tego. Pomocni twórcy przedstawienia a zespołowi „Gongu 2” bezprzeznaczony teatr posiada szereg istotnych wad jednostek, które przetrzą sprostą stawianym przez reżysera zadaniom, a zadania te bardzo często ściśle korespondują z tymi, jakie stawia się aktorowi zawodowemu. Reżisier zespołu daleko do tego. Pomocni twórcy przedstawienia a zespołowi „Gongu 2” bezprzeznaczony teatr posiada szereg istotnych wad jednostek, które przetrzą sprostą stawianym przez reżysera zadaniom, a zadania te bardzo często ściśle korespondują z tymi, jakie stawia się aktorowi zawodowemu. Reżisier zespołu daleko do tego. Pomocni twórcy przedstawienia a zespołowi „Gongu 2” bezprzeznaczony teatr posiada szereg istotnych wad jednostek, które przetrzą sprostą stawianym przez reżysera zadaniom, a zadania te bardzo często ściśle korespondują z tymi, jakie stawia się aktorowi zawodowemu. Reżisier zespołu daleko do tego. Pomocni twórcy przedstawienia a zespołowi „Gongu 2” bezprzeznaczony teatr posiada szereg istotnych wad jednostek, które przetrzą sprostą stawianym przez reżysera zadaniom, a zadania te bardzo często ściśle korespondują z tymi, jakie stawia się aktorowi zawodowemu. Reżisier zespołu daleko do tego. Pomocni twórcy przedstawienia a zespołowi „Gongu 2” bezprzeznaczony teatr posiada szereg istotnych wad jednostek, które przetrzą sprostą stawianym przez reżysera zadaniom, a zadania te bardzo często ściśle korespondują z tymi, jakie stawia się aktorowi zawodowemu. Reżisier zespołu daleko do tego. Pomocni twórcy przedstawienia a zespołowi „Gongu 2” bezprzeznaczony teatr posiada szereg istotnych wad jednostek, które przetrzą sprostą stawianym przez reżysera zadaniom, a zadania te bardzo często ściśle korespondują z tymi, jakie stawia się aktorowi zawodowemu. Reżisier zespołu daleko do tego. Pomocni twórcy przedstawienia a zespołowi „Gongu 2” bezprzeznaczony teatr posiada szereg istotnych wad jednostek, które przetrzą sprostą stawianym przez reżysera zadaniom, a zadania te bardzo często ściśle korespondują z tymi, jakie stawia się aktorowi zawodowemu. Reżisier zespołu daleko do tego. Pomocni twórcy przedstawienia a zespołowi „Gongu 2” bezprzeznaczony teatr posiada szereg istotnych wad jednostek, które przetrzą sprostą stawianym przez reżysera zadaniom, a zadania te bardzo często ściśle korespondują z tymi, jakie stawia się aktorowi zawodowemu. Reżisier zespołu daleko do tego. Pomocni twórcy przedstawienia a zespołowi „Gongu 2” bezprzeznaczony teatr posiada szereg istotnych wad jednostek, które przetrzą sprostą stawianym przez reżysera zadaniom, a zadania te bardzo często ściśle korespondują z tymi, jakie stawia się aktorowi zawodowemu. Reżisier zespołu daleko do tego. Pomocni twórcy przedstawienia a zespołowi „Gongu 2” bezprzeznaczony teatr posiada szereg istotnych wad jednostek, które przetrzą sprostą stawianym przez reżysera zadaniom, a zadania te bardzo często ściśle korespondują z tymi, jakie stawia się aktorowi zawodowemu. Reżisier zespołu daleko do tego. Pomocni twórcy przedstawienia a zespołowi „Gongu 2” bezprzeznaczony teatr posiada szereg istotnych wad jednostek, które przetrzą sprostą stawianym przez reżysera zadaniom, a zadania te bardzo często ściśle korespondują z tymi, jakie stawia się aktorowi zawodowemu. Reżisier zespołu daleko do tego. Pomocni twórcy przedstawienia a zespołowi „Gongu 2” bezprzeznaczony teatr posiada szereg istotnych wad jednostek, które przetrzą sprostą stawianym przez reżysera zadaniom, a zadania te bardzo często ściśle korespondują z tymi, jakie stawia się aktorowi zawodowemu. Reżisier zespołu daleko do tego. Pomocni twórcy przedstawienia a zespołowi „Gongu 2” bezprzeznaczony teatr posiada szereg istotnych wad jednostek, które przetrzą sprostą stawianym przez reżysera zadaniom, a zadania te bardzo często ściśle korespondują z tymi, jakie stawia się aktorowi zawodowemu. Reżisier zespołu daleko do tego. Pomocni twórcy przedstawienia a zespołowi „Gongu 2” bezprzeznaczony teatr posiada szereg istotnych wad jednostek, które przetrzą sprostą stawianym przez reżysera zadaniom, a zadania te bardzo często ściśle korespondują z tymi, jakie stawia się aktorowi zawodowemu. Reżisier zespołu daleko do tego. Pomocni twórcy przedstawienia a zespołowi „Gongu 2” bezprzeznaczony teatr posiada szereg istotnych wad jednostek, które przetrzą sprostą stawianym przez reżysera zadaniom, a zadania te bardzo często ściśle korespondują z tymi, jakie stawia się aktorowi zawodowemu. Reżisier zespołu daleko do tego. Pomocni twórcy przedstawienia a zespołowi „Gongu 2” bezprzeznaczony teatr posiada szereg istotnych wad jednostek, które przetrzą sprostą stawianym przez reżysera zadaniom, a zadania te bardzo często ściśle korespondują z tymi, jakie stawia się aktorowi zawodowemu. Reżisier zespołu daleko do tego. Pomocni twórcy przedstawienia a zespołowi „Gongu 2” bezprzeznaczony teatr posiada szereg istotnych wad jednostek, które przetrzą sprostą stawianym przez reżysera zadaniom, a zadania te bardzo często ściśle korespondują z tymi, jakie stawia się aktorowi zawodowemu. Reżisier zespołu daleko do tego. Pomocni twórcy przedstawienia a zespołowi „Gongu 2” bezprzeznaczony teatr posiada szereg istotnych wad jednostek, które przetrzą sprostą stawianym przez reżysera zadaniom, a zadania te bardzo często ściśle korespondują z tymi, jakie stawia się aktorowi zawodowemu. Reżisier zespołu daleko do tego. Pomocni twórcy przedstawienia a zespołowi „Gongu 2” bezprzeznaczony teatr posiada szereg istotnych wad jednostek, które przetrzą sprostą stawianym przez reżysera zadaniom, a zadania te bardzo często ściśle korespondują z tymi, jakie stawia się aktorowi zawodowemu. Reżisier zespołu daleko do tego. Pomocni twórcy przedstawienia a zespołowi „Gongu 2” bezprzeznaczony teatr posiada szereg istotnych wad jednostek, które przetrzą sprostą stawianym przez reżysera zadaniom, a zadania te bardzo często ściśle korespondują z tymi, jakie stawia się aktorowi zawodowemu. Reżisier zespołu daleko do tego. Pomocni twórcy przedstawienia a zespołowi „Gongu 2” bezprzeznaczony teatr posiada szereg istotnych wad jednostek, które przetrzą sprostą stawianym przez reżysera zadaniom, a zadania te bardzo często ściśle korespondują z tymi, jakie stawia się aktorowi zawodowemu. Reżisier zespołu daleko do tego. Pomocni twórcy przedstawienia a zespołowi „Gongu 2” bezprzeznaczony teatr posiada szereg istotnych wad jednostek, które przetrzą sprostą stawianym przez reżysera zadaniom, a zadania te bardzo często ściśle korespondują z tymi, jakie stawia się aktorowi zawodowemu. Reżisier zespołu daleko do tego. Pomocni twórcy przedstawienia a zespołowi „Gongu 2” bezprzeznaczony teatr posiada szereg istotnych wad jednostek, które przetrzą sprostą stawianym przez reżysera zadaniom, a zadania te bardzo często ściśle korespondują z tymi, jakie stawia się aktorowi zawodowemu. Reżisier zespołu daleko do tego. Pomocni twórcy przedstawienia a zespołowi „Gongu 2” bezprzeznaczony teatr posiada szereg istotnych wad jednostek, które przetrzą sprostą stawianym przez reżysera zadaniom, a zadania te bardzo często ściśle korespondują z tymi, jakie stawia się aktorowi zawodowemu. Reżisier zespołu daleko do tego. Pomocni twórcy przedstawienia a zespołowi „Gongu 2” bezprzeznaczony teatr posiada szereg istotnych wad jednostek, które przetrzą sprostą stawianym przez reżysera zadaniom, a zadania te bardzo często ściśle korespondują z tymi, jakie stawia się aktorowi zawodowemu. Reżisier zespołu daleko do tego. Pomocni twórcy przedstawienia a zespołowi „Gongu 2” bezprzeznaczony teatr posiada szereg istotnych wad jednostek, które przetrzą sprostą stawianym przez reżysera zadaniom, a zadania te bardzo często ściśle korespondują z tymi, jakie stawia się aktorowi zawodowemu. Reżisier zespołu daleko do tego. Pomocni twórcy przedstawienia a zespołowi „Gongu 2” bezprzeznaczony teatr posiada szereg istotnych wad jednostek, które przetrzą sprostą stawianym przez reżysera zadaniom, a zadania te bardzo często ściśle korespondują z tymi, jakie stawia się aktorowi zawodowemu. Reżisier zespołu daleko do tego. Pomocni twórcy przedstawienia a zespołowi „Gongu 2” bezprzeznaczony teatr posiada szereg istotnych wad jednostek, które przetrzą sprostą stawianym przez reżysera zadaniom, a zadania te bardzo często ściśle korespondują z tymi, jakie stawia się aktorowi zawodowemu. Reżisier zespołu daleko do tego. Pomocni twórcy przedstawienia a zespołowi „Gongu 2” bezprzeznaczony teatr posiada szereg istotnych wad jednostek, które przetrzą sprostą stawianym przez reżysera zadaniom, a zadania te bardzo często ściśle korespondują z tymi, jakie stawia się aktorowi zawodowemu. Reżisier zespołu daleko do tego. Pomocni twórcy przedstawienia a zespołowi „Gongu 2” bezprzeznaczony teatr posiada szereg istotnych wad jednostek, które przetrzą sprostą stawianym przez reżysera zadaniom, a zadania te bardzo często ściśle korespondują z tymi, jakie stawia się aktorowi zawodowemu. Reżisier zespołu daleko do tego. Pomocni twórcy przedstawienia a zespołowi „Gongu 2” bezprzeznaczony teatr posiada szereg istotnych wad jednostek, które przetrzą sprostą stawianym przez reżysera zadaniom, a zadania te bardzo często ściśle korespondują z tymi, jakie stawia się aktorowi zawodowemu. Reżisier zespołu daleko do tego. Pomocni twórcy przedstawienia a zespołowi „Gongu 2” bezprzeznaczony teatr posiada szereg istotnych wad jednostek, które przetrzą sprostą stawianym przez reżysera zadaniom, a zadania te bardzo często ściśle korespondują z tymi, jakie stawia się aktorowi zawodowemu. Reżisier zespołu daleko do tego. Pomocni twórcy przedstawienia a zespołowi „Gongu 2” bezprzeznaczony teatr posiada szereg istotnych wad jednostek, które przetrzą sprostą stawianym przez reżysera zadaniom, a zadania te bardzo często ściśle korespondują z tymi, jakie stawia się aktorowi zawodowemu. Reżisier zespołu daleko do tego. Pomocni twórcy przedstawienia a zespołowi „Gongu 2” bezprzeznaczony teatr posiada szereg istotnych wad jednostek, które przetrzą sprostą stawianym przez reżysera zadaniom, a zadania te bardzo często ściśle korespondują z tymi, jakie stawia się aktorowi zawodowemu. Reżisier zespołu daleko do tego. Pomocni twórcy przedstawienia a zespołowi „Gongu 2” bezprzeznaczony teatr posiada szereg istotnych wad jednostek, które przetrzą sprostą stawianym przez reżysera zadaniom, a zadania te bardzo często ściśle korespondują z tymi, jakie stawia się aktorowi zawodowemu. Reżisier zespołu daleko do tego. Pomocni twórcy przedstawienia a zespołowi „Gongu 2” bezprzeznaczony teatr posiada szereg istotnych wad jednostek, które przetrzą sprostą stawianym przez reżysera zadaniom, a zadania te bardzo często ściśle korespondują z tymi, jakie stawia się aktorowi zawodowemu. Reżisier zespołu daleko do tego. Pomocni twórcy przedstawienia a zespołowi „Gongu 2” bezprzeznaczony teatr posiada szereg istotnych wad jednostek, które przetrzą sprostą stawianym przez reżysera zadaniom, a zadania te bardzo często ściśle korespondują z tymi, jakie stawia się aktorowi zawodowemu. Reżisier zespołu daleko do tego. Pomocni twórcy przedstawienia a zespołowi „Gongu 2” bezprzeznaczony teatr posiada szereg istotnych wad jednostek, które przetrzą sprostą stawianym przez reżysera zadaniom, a zadania te bardzo często ściśle korespondują z tymi, jakie stawia się aktorowi zawodowemu. Reżisier zespołu daleko do tego. Pomocni twórcy przedstawienia a zespołowi „Gongu 2” bezprzeznaczony teatr posiada szereg istotnych wad jednostek, które przetrzą sprostą stawianym przez reżysera zadaniom, a zadania te bardzo często ściśle korespondują z tymi, jakie stawia się aktorowi zawodowemu. Reżisier zespołu daleko do tego. Pomocni twórcy przedstawienia a zespołowi „Gongu 2” bezprzeznaczony teatr posiada szereg istotnych wad jednostek, które przetrzą sprostą stawianym przez reżysera zadaniom, a zadania te bardzo często ściśle korespondują z tymi, jakie stawia się aktorowi zawodowemu. Reżisier zespołu daleko do tego. Pomocni twórcy przedstawienia a zespołowi „Gongu 2” bezprzeznaczony teatr posiada szereg istotnych wad jednostek, które przetrzą sprostą stawianym przez reżysera zadaniom, a zadania te bardzo często ściśle korespondują z tymi, jakie stawia się aktorowi zawodowemu. Reżisier zespołu daleko do tego. Pomocni twórcy przedstawienia a zespołowi „Gongu 2” bezprzeznaczony teatr posiada szereg istotnych wad jednostek, które przetrzą sprostą stawianym przez reżysera zadaniom, a zadania te bardzo często ściśle korespondują z tymi, jakie stawia się aktorowi zawodowemu. Reżisier zespołu daleko do tego. Pomocni twórcy przedstawienia a zespołowi „Gongu 2” bezprzeznaczony teatr posiada szereg istotnych wad jednostek, które przetrzą sprostą stawianym przez reżysera zadaniom, a zadania te bardzo często ściśle korespondują z tymi, jakie stawia się aktorowi zawodowemu. Reżisier zespołu daleko do tego. Pomocni twórcy przedstawienia a zespołowi „Gongu 2” bezprzeznaczony teatr posiada szereg istotnych wad jednostek, które przetrzą sprostą stawianym przez reżysera zadaniom, a zadania te bardzo często ściśle korespondują z tymi, jakie stawia się aktorowi zawodowemu. Reżisier zespołu daleko do tego. Pomocni twórcy przedstawienia a zespołowi „Gongu 2” bezprzeznaczony teatr posiada szereg istotnych wad jednostek, które przetrzą sprostą stawianym przez reżysera zadaniom, a zadania te bardzo często ściśle korespondują z tymi, jakie stawia się aktorowi zawodowemu. Reżisier zespołu daleko do tego. Pomocni twórcy przedstawienia a zespołowi „Gongu 2” bezprzeznaczony teatr posiada szereg istotnych wad jednostek, które przetrzą sprostą stawianym przez reżysera zadaniom, a zadania te bardzo często ściśle korespondują z tymi, jakie stawia się aktorowi zawodowemu. Reżisier zespołu

„NOJE LEKTURY”

Z drugim zeszytem przeczytałem w...

Zasnułem się po pierwsze dlatego, że...

Na swoją obronę nie będę przytaczał...

Proszę Pana, Panie Redaktorze, o opublikowanie...

Łącząc należne wyrazy szacunku Zygmunta Wójcika WARSZAWA

Od redakcji: Zgodnie z przyjętym...

od BIEBRZY NO BIESZCZADY

BIAŁYSTOK

Na organizowaną przez Białostockie...

W ramach współpracy muzeów z różnymi...

W Białymstoku obradował II walny zjazd...

W sali Domu Związków Zawodowych...

Wieloletni kierownik Biura Wystaw...

Wieloletni kierownik Biura Wystaw...

Wieloletni kierownik Biura Wystaw...

Wieloletni kierownik Biura Wystaw...

Wieloletni kierownik Biura Wystaw...

Wieloletni kierownik Biura Wystaw...

Wieloletni kierownik Biura Wystaw...

Wieloletni kierownik Biura Wystaw...

Wieloletni kierownik Biura Wystaw...

Wieloletni kierownik Biura Wystaw...

Wieloletni kierownik Biura Wystaw...

Wieloletni kierownik Biura Wystaw...

Wieloletni kierownik Biura Wystaw...

Wieloletni kierownik Biura Wystaw...

w ostatnich czasach ożywiona działalność...

Słynne „Krzemionki Opatowskie”...

Muzeum Świętokrzyskie obchodzi...

Z inicjatywy aktorów Teatru im. S. Żeromskiego...

Kielce otrzymają wreszcie pawilon wystawowy...

W sali Domu Związków Zawodowych...

Wieloletni kierownik Biura Wystaw...

Wieloletni kierownik Biura Wystaw...

Wieloletni kierownik Biura Wystaw...

Wieloletni kierownik Biura Wystaw...

Wieloletni kierownik Biura Wystaw...

Wieloletni kierownik Biura Wystaw...

Wieloletni kierownik Biura Wystaw...

Wieloletni kierownik Biura Wystaw...

Wieloletni kierownik Biura Wystaw...

Wieloletni kierownik Biura Wystaw...

Wieloletni kierownik Biura Wystaw...

Wieloletni kierownik Biura Wystaw...

Wieloletni kierownik Biura Wystaw...

Maleckiego, Janu Seoly i Adama Wol...

W 1985 roku Lublin będzie liczył...

Biuro Wystaw Artystycznych powoła...

W końcu kwietnia Zespół Tańca Lud...

W Filharmonii Lubelskiej odbył się...

Lubelscy rzemieślnicy, członkowie...

Wieloletni kierownik Biura Wystaw...

Wieloletni kierownik Biura Wystaw...

Wieloletni kierownik Biura Wystaw...

Wieloletni kierownik Biura Wystaw...

Wieloletni kierownik Biura Wystaw...

Wieloletni kierownik Biura Wystaw...

Wieloletni kierownik Biura Wystaw...

Wieloletni kierownik Biura Wystaw...

Wieloletni kierownik Biura Wystaw...

Wieloletni kierownik Biura Wystaw...

Wieloletni kierownik Biura Wystaw...

Wieloletni kierownik Biura Wystaw...

Wieloletni kierownik Biura Wystaw...

Wieloletni kierownik Biura Wystaw...

Wieloletni kierownik Biura Wystaw...

Wieloletni kierownik Biura Wystaw...

Wieloletni kierownik Biura Wystaw...

Wieloletni kierownik Biura Wystaw...

Wieloletni kierownik Biura Wystaw...

Wieloletni kierownik Biura Wystaw...

Wieloletni kierownik Biura Wystaw...

Wieloletni kierownik Biura Wystaw...

Wieloletni kierownik Biura Wystaw...

Wieloletni kierownik Biura Wystaw...

Wieloletni kierownik Biura Wystaw...

Wieloletni kierownik Biura Wystaw...

Wieloletni kierownik Biura Wystaw...

Wieloletni kierownik Biura Wystaw...

Wieloletni kierownik Biura Wystaw...

Wieloletni kierownik Biura Wystaw...

Wieloletni kierownik Biura Wystaw...

Wieloletni kierownik Biura Wystaw...

Wieloletni kierownik Biura Wystaw...

Wieloletni kierownik Biura Wystaw...

Drapak zamiast róży

(Dokończenie ze str. 7)

może być poetyckie, a co nie. Ireneusz...

Pięknym cięciem otworzono brzuch...

To jest jeden z możliwych portretów...

Przecież to inny świat, niż ogród...

A co do brzydoty, to właśnie...

Pięknym? Podobno w napowietrznych...

Powstają makaberytyki (termin...

Jest w naszym ogrodzie pewna...

Przecież to inny świat, niż ogród...

A co do brzydoty, to właśnie...

Pięknym? Podobno w napowietrznych...

świecie / ludzie tak wymyśli / Ze...

o, Ty moralisto od siedmiu czyraków!

Twoją pogrzebac nie ustrząsnie...

to właśnie Grochowiak podjął...

Pięknym? Podobno w napowietrznych...

III Konkurs Literacki o laur im. J. Czechowicza

Wydział Kultury Prezydium MRN...

Konkurs obejmuje autorów z województw...

VIII Konkurs Małych Form Literackich

Wojewódzki Oddział Stowarzyszenia...

Najlepszą formą terminowego otrzymywania „Kamenu” jest prenumerata

pisu. Nadsyłać można tylko utwory...

Prace, opatrzone godłem z kopertą...

W dziale poezji i w dziale prozy...

adres: Oddział Woj. Stow. PAX w Lublinie...

Do utworów opatrzone godłem...

Gorzka cena lekkomyślności

(Dokończenie ze str. 5)

zawsze jednak i choroba mężczyzny...

Temat jak ocean. Wólbym podać...

Byłbym śmieszny występując...

szym, szybszym i wygodniejszym...

Lucjan Piątek

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału...

Informacji w sprawie prenumeraty...

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo...

Adres redakcji: Lublin, ul. Graniczna 7...

Korespondencje prosimy kierować...

Zam. 908 13.11.88. C-4. Kamena str. 11

Serdecznie pozdrawiam Danuta Czarny TORUN

